A. MIECZNIK

MEST

■■■

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

7.

ANTONI MIECZNIK

MEST

Fantazya powieściowa

WARSZAWA.
NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI".
1905.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 января 1905 года.

201865

I.

Ogromna dnia tego na drewnickim dworcu panowała uciecha. Kneź Mest wrócił przed samym wieczorem z łowów trzydniowych, jakie z gromadą swoich wojowników, corocznie przed samem świętem Kupały, w kniejach okolicznych odbywał.

Tym razem, łupy myśliwskie były większe, niż zwykle. Kneziowska dłoń potężna zmogła największego tura, którego z tryumfem, przy okrzykach gromady całej, przyniesiono właśnie na drągach. Takiego okrutnego zwierza, co mógł liczyć dobrych lat trzydzieści, najstarsi w gromadzie dawno już nie widzieli.

Sławiono więc hospodyna za jego niepoślednią siłę i zręczność, i dziękowano bogom, że taki, a nie

inny, sądy i rządy na kneziowskim tronie drewnickim sprawował.

Kneź był rad, ile że widział, jako ona radość gminu, szczerą mu się być zdała. Tura ubitego rozkazał rzucić na trawę przed samym dworcem, ażeby widokiem jego rozweselić serce swoje, oraz domowników własnych.

Przeznaczył go już zawczasu na ucztę kupalną, która za dni kilkoro o północy odbyć się miała, tymczasem zaś postanowił uraczyć biesiadą wojowników i towarzyszów za okazaną pomoc w tej sprawie, a zarazem, by dać folgę własnemu sercu.

— Bawić się dzisiaj będę... — rzekł do Bolka, zaufanego swego, a jednocześnie przełożonego nad całą drużyną zbrojną.

— A gdzie wasza mość kneziowska biesiadę urządzić każe? — spytał Bolko.

Mest spojrzał na tura, koło którego kręciło się już kilka dworek, zaglądających w martwe, szkliste ślepie zwierzęcia. Dworki chichotały, gawędząc półgłosem, albowiem w obecności knezia nie śmiały nigdy głosu podnosić.

Najruchliwszemi były dwie z tych dziewczyn, Sława i Miła, obie dorodne i ochocze córy Mesta.

— A gdzie, wasza mość pańska, rozkaże podać wieczerzę?—powtórzył Bolko, chodząc za kneziem, który żartobliwie odpędzał dworki od swego łupu.

— Tutuj, na podwórcu, — odrzekł Mest, oddając w ręce stojącego nieopodal wojownika, swój oszczep skrwawiony.

I dodał, zwracając się ku dziewczynom:

— Hej! miasto chichotać próżno, zabierzcie się corychlej do przysposobienia wieczerzy! Miodu dużo syconego, [bo drużynę całą uraczyć muszę; niech nikt nie odejdzie od kneziowskiego stołu, nie zapamiętawszy tego!

Dziewoje pokłoniły się do nóg panu i ojcu, i pobiegły natychmiast do piwnic i sklepów, by wykonać rozkaz, wiedziały bowiem, jako kneź zleceń swoich dwa razy nie lubił powtarzać.

Zaczem Mest udał się komnat, aby się przybrać odświętnie.

Słońce już zaszło. Czerwona zorza sączyła się przez szumiącą sennie gęstwinę liści dębowych, i złocąc wyniosłe pnie olbrzymów leśnych, kładła po-

darte pasma różowane, na wydeptaną trawę podwórca.

Po ubitym twardo kwadratowym placu, pomiędzy wieżą, na wzgórku stojącą, a kneziowskim domostwem, suuła się czereda służebnych ludzi, rozstawiając stoły krzyżowe i długie ławy. Znoszono stągwie drewniane, różnej wielkości kubki i dzbany, korowaje ogromne świeżo upieczonego chleba, sery i miód w plastrach.

Nieopodal, przy rozpalonych ogniskach, kręciło się kilkoro ludzi, zajętych pieczeniem ogromnych połci mięsa z ubitych na dzisiejszem polowaniu całych sztuk zwierzyny.

Przez rozwarte na rozcież wrota horodyszcza, wtaczały się gromadki, idące prosto z sioła; ale nie wszystkich kneziowska straż wpuszczała do środka: ci, co wchodzili, byli to albo zbrojni wojownicy z dzidami w ręku i z zawieszonymi na plecach łukami, lub ubrani w białe siermięgi, w starszym już nieco wieku ludzie.

Wpośrodku zbrojnej drużyny, rej wodził olbrzymi Mojmir, potrząsający w dłoniach ogromnej wielkości palicą dębową, nabijaną ostremi krzemieniami. Była to jego

ulubiona broń, którą się zawsze siłacz on zwykł był posługiwać.

Mojmir razem z samym kneziem należał do bohaterów dnia tego, albowiem jemu przypadło w udziale dopadnięcie zranionego tura i zadanie mu ostatniego ciosu śmiertelnego.

Mest wobec całej drużyny pochwalił Mojmira, z czego ten był niezmiernie dumny, albowiem pan drewnicki nader rzadko komukolwiek ze swoich udzielał pochwały.

Mojmir stał w gronie swych towarzyszy, i podrzucając swą palicą do góry, z nadzwyczajną łatwością chwytał ją w locie; przytem śmiał się serdecznie, widząc zdumienie na twarzach obecnych.

Z drużyny kneziowskiej on jeden najwięcej miał miru u swoich, najwięcej liczył przyjaciół.

Jeden Bolko nie rad doń przemawiał, widocznem było, że zazdrościł łaski książęcej „przybłędzie“, tak bowiem w kole zaufanych stale nazywał Mojmira.

O samym zmroku przybył siwowłosy Radan, a towarzyszyli mu Agaton z Abibalem, obaj ubrani w odzienie, jakie drużyna kneziowska zwykła nosić.

Grek natychmiast przyłączył się do gromady, otaczającej Mojmira, albowiem zwabił go śmiech głośny, stamtąd się rozlegający. Abibal natomiast z Radanem usiedli sobie na przyźbie i cichą prowadzili rozmowę.

Wkrótce ukazał się i sam Mest. Na jego widok rozbawione gromadki ucichły, czekając na znak rozpoczęcia biesiady.

Kneź powitał wszystkich skinieniem głowy i przystąpił do kłaniającego mu się w pas Radana.

— Wesół dziś jestem! — zawołał. — Przywołałem na horodyszcze wierną moją drużynę, oraz moich przyjaciół, ażeby wzięli udział w zabawie, jaką urządzam.

— Wola pańska. Uciecha kneziowska zawsze jest połączona z uciechą jego wiernych towaszyszy, — odrzekł Radan.

— Widziałeś tura, któregom ubił dziś na łowach?

— Wspaniały zwierz! Dawno oczy moje takiego olbrzyma nie oglądały...

— I byłby zemknął, byłby znikł w kniei, gdyby

nie Mojmir, który w sam czas go dogonił i palicą ugodził. Rad jestem Mojmirowi; nie jedną może oddać nam przysługę ten olbrzym.

A przywoławszy Mojmira, poklepał go łaskawie po ramieniu; zaczem krzyknął potężnym swym głosem:

— Siadajcież do stołów biesiadnych, wierni towarzysze! Hucznie spędzimy czas wieczerzy!

— Niech żyje kneź Mest, drewnicki pan!—rozległ się okrzyk wśród gromady zbrojnej.

I zabrzmiał śpiew wesoły, łowieckie wczasy sławiący.

Kneź uśmiechnął się, pogładził kruczą brodę, która mu okalała męzkie oblicze, i zatknąwszy rękę za pas, złotemi ćwieczkami nabijany, podszedł do wzniesienia, na którem stał zydel, czerwienią krwawą malowany. Siadł, a za nim tłumnie siadali inni na dębowych ławach.

Radan zajął miejsce tuż obok knezia; należał mu się on zaszczyt, ile że piastował w gronie rajców drewnickich godność najpierwszego, zarówno dla głębokiej mądrości swojej, jako też i dla sędziwych lat, które mu głowę okryły siwizną.

Po drugiej stronie Mestowego zydla, usiadł posępny Bolko, mając obok siebie przedniejszych ze zbrojnej drużyny.

Wnet służebni od poblizkich ognisk, z niemałym trudem poczęli przenosić na stoły ogromne pieczenie łosie i sarnie, oraz ze stągwi drewnianych nalewać sycony miód wonny. Mest wyjął z za pasa nóż, świeżo wyostrzony, i ze stojącego tuż obok na drewnianych kozłach upieczonego w całości wołu, urznął potężny kęs mięsa.

Za danym przez wodza swego przykładem, poczęła płatać pieczenie liczna drużyna i goście proszeni. Zawrzało, jak w ulu. Zajadano w najlepsze, nie zapominano o przednim miodzie, z piwnic kneziowskich dobytym.

Przy stole pańskim, który się znajdował pośrodku ogromnego podwórca, było dość spokojnie — gwarzono półgłosem, ciągnąc z kubków złotawy płyn, natomiast przy innych stołach, które obsiadła młódź, panował rozgwar, pomieszany z głośnemi nieraz śmiechami.

Na przyźbach dworca stały niewiasty i hoże dziewoje, z wieńcami zieleni na głowach, przypatrując

się uczcie, wydawanej na zakończenie wspaniałych łowów.

Niektóre, co śmielsze, wychodziły naprzód i jęły cichutko nucić pieśń weselną. A pochwycił ją niebawem czujne uszy młodzieży,— i oto zabrzmiał śpiew przeciągły, wychodzący ze stu potężnych męskich piersi.

I niósł się ten śpiew hen, za świętą rzekę Białą, co przez nieprzebyte ostępy i knieje toczyła ku morzu rozlewnemu ciche wody swoje. Wtórował mu poszum wzmagający się liści wiekowych dębów, na które złotą twarzą spoglądał z wysokości niebios miesiąc w pełni.

Aż oto na szczycie wieżycy zapłonęło ognisko, rozpalone z rozkazu knezia, by całemu siołu i okolicznym sadybom, tu i owdzie po dolinie rozsianym, dać znać, że bawi się wraz z hufcem swoim wspaniały pan Drewnicy.

— Na cześć bogów, Białego i Ład niosącego! — zabrzmiał głos knezia, — wychylmy czary nasze!

Więc powstał z siedzenia swego Radan siwowłosy, mądrością tajemniczą przez bóstwa podniebne obda-

rzony, i uniósłszy dzban swój kunsztowny nieco ku górze, zawołał:

— Białemu bogu ofiarę czyńmy, albowiem z niego spływa siła na nas i niezmierzone plemię nasze!

Zaczem strącił nieco miodu na trawę i wychylił pozostałą zawartość do dna.

Uczynili tak samo wszyscy, nie wyłączając Agatona i Abibala, którzy dopiero rok niespełna, jak za swoich przez innych uznani zostali.

Huknął więc znowu śpiew, potężna pieśń niosła się w dal na skrzydłach wiatru, głosząca potęgę i mądrość plemiennego boga, co słusznie zwał się białym i dobrym.

— Duchom przodków, wspólnością krwi związanym z nami, okrzyk weselny wznieśmy!—zagrzmiał donośnie Mest.

— Niech się radują z nami, ubiegłego szczęścia wspominając dni, one sławne i wielkie dni! — dodał Radan.

Znów popłynęły strugi złotego płynu i znów zabrzmiała pieśń, tym razem smutna, wyrażająca obyczajem dawnym żal za tymi, co już dni swoje skończyć musieli.

Zaczęto teraz przypominać sobie o zmarłych towarzyszach broni, poległych w walce w Rudymi, o ojcach i dziadach.

Ci, co bliższymi węzłami złączeni byli, jęli się wnet rozczulać nad dolą własną; padali sobie w objęcia zawodząc, rzewnie.

Nie zapomniano także i o tych, co wyrwani z ojczyzny własnej, gościnę szczerą w Drewnicy znaleźli. Sławoj wziął w ramiona smukłego Abibala i jął mu kości wygniatać, nazywając swym synem najmilszym. Toż samo Wilk czynił z Agatonem Grekiem, któremu ta uczta helleńskie z czasów homerowych symposiony przypominała.

Podniecony tężyzną trunku, Mojmir zerwał się od stołu, przewróciwszy na ziemię dębową ławę wraz z gromadą towarzyszy, i chyłkiem pobiegł ku kneziowskiemu siedzeniu.

Mest spojrzał nań dobrotliwie, czekając, co siłacz czynić zamierza.

Mojmir przypadł mu do kolan, a chwytając jego kurtę białą, szeroką taśmą czerwienną bramowaną, jął wołać:

— Gdyby nie ty, drewnicki panie, gdyby nie dobroć twoja, zmarnielibyśmy wszyscy, ja i losem mi wyznaczeni bracia moi! Tobie zawdzięczamy życie, tobie zawdzięczamy wszystko; zastąpiłeś nam, wielki kneziu, ojców i ojczyców naszych, cześć tobie przeto, niechaj będzie! Jakom dzisiaj tura, ugodzonego śmiertelnie przez ciebie, dokonał — tak zmiażdżę każdego nieprzyjaciela twego. Żywot mój—twoim jest!

Rzekłszy to, Mojmir chwycił za stojącą nieopodal stągiewkię z miodem i pić począł na zabój.

Roześmiał się Mest, ile że rad był widział tyle mocy, w jednym człowieku zawartej, albowiem stągiewkę dębową dwoje ludzi z trudnościąby podnieść mogło, i zawołał:

— Zaprawdę, człek ten olbrzymów siłą obdarzony!.. Któż mu wyrówna?..

Na owo ozwanie się pańskie, ruszyło do stągiewek chwatów kilkoro, zrzuciwszy poprzednio okrywające ich szerokie ramiona skóry niedźwiedzie i wilcze, lecz zaledwie dwóch z nich, Sławek i Dobek, zdołali dokonać tego, co Mojmir.

— Hu! ha!.. Hu! ha!.. — ryknęła gromada, spo-

glądając na onych trzech zuchów, co nie dzbany proste i lekkie do ust nieśli, a stągwie dębowe.

Szmer podziwu się rozszedł.

A oni, przystąpiwszy do knezia, pokłon mu uczynili, dziękując za łaskawość, i naraz pochwyciwszy za dębowe nogi stolca, na którym siedział, w górę go podnieśli.

Ruszyli ku nim inni, i zbili się w tłum.

— Niech setne lata żyje drewnicki pan! — wołano.

— Niech mu dostatki zewsząd płyną!..

— Niechaj go bronią bogowie pól!..

— Bogowie lasów, jezior i wód, niech strzegą go!..

— Niech żyje Mest, drewnicki pan!..

I obnoszono knezia po podwórzu wśród tych gromkich okrzyków, z piersi potężnych z całą szczerością dusz prostych wydzierających się.

Tłum huczał, jak huczy groźna fala, staczająca się na pobrzeżne morskie piaski; zawodził, jak zawodzi zawieja śnieżna, hulająca po polanach leśnych; toczył się, jak się po wyżynach gór śnieżnych przetacza grom piorunny.

Na obliczach wszystkich, przy łunach, idących od zapalonych gęsto ognisk, widniało wesele godowe, ta uciecha, której, zdało się, żaden smutek zwarzyć by nie mógł.

Tak ucztowała jedna wielka rodzina, nie znająca, co kłamstwo, co poswar i gniew wzajemny. Sławiła ona w kneziu nie władcę swego, sprawującego na horodyszczu sądy i rządy obyczajem odwiecznym przodków, a dobrotliwego ojca i mądrego opiekuna.

A kiedy okrzyki przycichły i wszyscy z powrotem na miejscach swych usiedli, podniósł się znowu Mest i huknął na służebników.

Zbiegła się zaraz czereda pańska i na rozkazy w milczeniu czekała.

— Gęślarzy nam trzeba! Niech nam zawiodą pieśń ucieszną, niechaj nam sławią tych, co byli przeszli w spokój wieczny.

Jakoż z izb dworca wysunęło się dziesięciu starców, z których każdy trzymał gęśle w ręku, a otaczało ich kilkunastu młodzianków i dziewoj.

Tłum biesiadujących ucichł zupełnie.

Czekano.

Jęknęły struny, wprawnemi dłońmi starców trącane, i poszła pieśń, wspaniały, srebrzysty śpiew, przez dziewoje w wieńcach na głowach nucony.

Dziewczyny śpiewały, jak smutna jest dola młodzieńca, który się z wrogiem nie zmierzył, tura nie zabił, ojczycom chwały nie przysporzył.

A odpowiadały chórem głosy młodzieńców, potwierdzając to, co wydzwoniły przed chwilą dziewczęce usta...

Potem już razem, zgodnie jęli w słowach udatnych, snuć opowiadanie śpiewem o czasach dawnych, sięgających pierwszych kneziów plemiennych, co przybywszy z Południa, z niezmierzonych stepów, tutaj w ostępach leśnych osiedli, gród drewnicki założywszy. Wspomniano pradziada Mestowego, co obwałował i wzmocnił horodyszcze, dziada, który odparł najazd przybłędów Rudych, oraz ojca, który długie z wrogami toczył walki.

Zasępił się kneź, onych pieśni ród jego wysławiających, słuchając, albowiem żądzą niezmierną walki pałając, do tej pory w śmiertelnej rozprawie z odwiecznym wrogiem Drewnicy zmierzyć się nie zdołał. Bywały częste potyczki z Rudymi, bywały i częste zwy-

cięstwa — wróg jednak doszczętnie rozbitym nie został.

Rozszerzyć władzę, a panowanie nad innemi gminami, złączyć wszystkie siły dla przepędzenia raz na zawsze nieprzyjaciół bogów ojczystych — to było kneziowskiem marzeniem. Połączoną mocą dokonać dzieła wielkiego, by chwała drewnickiego pana, dosięgła szarych wód Baltyku, a przewyższyła chwałę i potęgę dziedzica Białogrodu: o tem Mest dniem i nocą rozmyślał.

Budziła się w nim dusza, gdy owe pienia bojowe w uszach mu brzmiały, a męstwo wzbierało w sercu czujnem.

I oto patrzał na dzielną drużynę, jak miasto za wrogiem, z nim razem za zwierzyną po kniejach goniła; czyniło mu się też niewypowiedzianie smutno.

Wstał nagle kneź—zerwał się śpiew—a pan powiódłszy sokolim wzrokiem po rozradowanych weselem twarzach junaków, zawołał:

— Będziemyż czas trawili przy dzbanach miodu, dumni jeno z tego, że jelenie i sarny z rąk naszych legły?

Zatrzymał się dech u wszystkich; słowa nikt nie wyrzekł, czekano, co Mest dalej mówić pocznie.

— Mężni i młodzi jesteśmy: żali jeno Drewnica i sadyby okoliczne światem są naszym?

Rozszedł się pomruk głuchy.

— Po za kniejami leśnemi są grody potężne, o których nas słuch ledwie dochodzi; grody potężne i wielkie, w dobro wszelakie bogate!...

Drużyna porwała się z miejsc i kupić się jęła wkrąg kneziowskiego stolca.

— Grody te naszemi być winny! — rozbrzmiewał posępny, a mocny głos drewnickiego dziedzica.

— Naszemi być winny! — ryknęła gromada, mieczy, włóczni i łuków porzuconych szukając.

— Ubiegnie nas wróg, co wokoło sadyby swe rozsiał, krwawo pochód swój znacząc.

— Śmierć Rudym!—krzyczano.

— Zagłada przybłędom!

— Prowadź nas na nich, kneziu!...

Ogniska syczały, od czasu do czasu buchając płomieniem jasnym i skier zawieją; wydało się, jakoby podwórce wieńcem krwawym okolone było.

A tam na szczycie wieżycy zamkowej płonął stos, podsycany przez strażników, dozór nad horodyszczem i siołem trzymających.

Z wysokiego nieba, którego fiolet ciemny powodzią gwiaździstą zalanym być się zdawał, spoglądał miesiąc złoty, czary nocy wiosennej na ludzi rozsypując. Wiekowe dęby poważnie szumieć poczęły, albowiem poniósł się prosto na nie wiatr ciepły, od rzeki wiejący.

I znów wydarł się z piersi junaków gromki okrzyk:

— Kneziu, prowadź!

— Z ziemią zrównamy sadyby Rudych.

— Wypławimy konie nasze w wodach, szumiących u piaszczystych wybrzeży Białogrodu!

— Pokłoni ci się białogrodzki pan, pod stopy twoje kneziowski miecz swój położy, a drużyna jego pod naszemi ciosami wnet padnie...

A Mest, słysząc to, rósł na sile; moc straszna rozpierała mu piersi, a nie mogąc jej stłumić w sobie, wyrwał z dłoni ponuro milczącego Bolka oszczep żelazny i cisnął nim w martwe cielsko tura, umajonego

w zieleń, tak strasznie, że broń do polowy wbiła się pomiędzy łopatki zwierza.

I zaśmiał się z radości, że gotowej na wszystko drużynie przewodzi.

— Niech żyje Mest!

— Niech żyje drewnicki pan!

— Zbijemy Rudych w proch!

— Weźmiemy gród biały, gdy się ośmieli przeciwko nam wystąpić!

Zaczęto ciskać oszczepami, i wszczął się taki trzask, iż zdał się być hukowi gromu podobny. Potem znów podniesiono knezia do góry, na cześć jego okrzyki tysiączne wznosząc.

Aż oto naraz rozległy się wołania z wieżycy, niby w odpowiedzi na głosy czyjeś.

Zaczem przybiegło straży dwoje, i rozparłszy tłum wojowników, zbliżyło się do Mesta.

— Kto śmie biesiady nasze przerywać? — ozwał się kneź.

A strażnicy rzekli, pokłoniwszy mu się w pas.

— Gromada ludzi przed wrotami horodyszcza stoi i widzenia się z tobą domaga, wielki kneziu!

— I czegóż chcą? Swoi czy obcy?

— Swoi są, z okolicznych wiosek i sadyb tobie podległych.

— Teraz? Wszak nie kupalne święto dzisiaj...

— Gromada zbrojna wrogów Rudych spaliła im osady, a mnogość wielką zabrawszy w niewolę, ciągnie na nasz gród!

— Ha, więc wróg tuż!—ryknął Mest, waląc dłonią w stół.

— Zmożemy go!—huknęła gromada, rzuciwszy się do broni, leżącej stosami na podwórcu.

— Towarzysze, nastał nasz czas! — rzekł znowu Mest, ale już mówił tak, jak rozkazuje wódz.

Na obliczu jego, do tej pory rozradowanem, ukazała się surowość i stanowczość; zmarszczone brwi nad groźnemi oczyma kryły myśli srogie, bojowe.

— Towarzysze i druhy, wracajcie teraz pod strzechy swoje, a wyostrzywszy oszczepy i palice, do walki na me wezwanie gotowi bądźcie. Gdy dam wam znać, pójdziemy wraz. Wesele i biesiadę wróg nam śmiał przerwać, dokończymy je więc na zgliszczach sadyb jego!

— Otwórzcie bramy! — ciągnął dalej rozkazująco

kneź, — i wpuśćcie nieszczęśliwych zbiegów. Niech wspólnie z nimi rzecz rozważę!...

Drużyna jęła tłumnie opuszczać podwórzec horodyszcza, szczękając bronią.

Został jedno Radan z kilkorgiem starszych, by radą swą mądrą służyć panu i kneziowi.

Niebawem, tuż przed ławą pańską stanęli ci, co bliżej Drewnicy mieszkając, cało przed wrogiem umknęli, jako też i owi, którym nieprzyjaciel, spaliwszy sadyby, pęt niewoli nie zdołał był jednak włożyć. Wszyscy byli strwożeni wielce i dziwy nieslychane o sile wrażej opowiadali, zawodząc żałośliwie nad stratą mienia i opłakując poległych krewniaków, a blizkich swoich od miecza nielitościwego.

— Zgubieni jesteśmy my wszyscy, i dzieci, i żony, i siostry, i bracia nasi, jeśli u ciebie, wielki i potężny kneziu, pomocy nie znajdziemy!

— Nie daj nam zginąć, miłościwy nasz panie!

— Wybaw i tych, których wróg na powrozach mocnych okrutnie wlecze za sobą, bijąc i katując.

Takie rozlegały się groźne okrzyki nieszczęśliwych, tłoczących się wokoło kneziowskiego stołka.

A Mest słuchał, namarszczywszy brew, i długo w swej głowie rzecz rozważał, wreszcie rzekł:

— Bóstwa ojczyste nie opuszczą nas! Siłą ramion dzielnej drużyny mojej, uderzę na nieprzyjaciela i pomszczę śmierć poległych, a straszna i krwawa będzie zemsta moja! Nie trwóżcież się, moc mamy wielką; wrócą do was ci, których najazd zdradziecki porwał ze sobą; na zgliszczach nieprzyjacielskich wsi odbudujecie chaty swoje!...

I rozkazał ulubionemu Bołkowi, co między drużyną horodyszcza ładu pilnował, aby kobiety, dzieci i starców w siole umieścił, przedniejszym zaś przygotował mieszkanie w samym dworcu. Zatrzymał przy sobie jedno mężów starszych, by się od nich szczegółowo o całym niecnym napadzie dowiedzieć.

Jakoż Sobek, Widymów syn, co z ramienia knezia nad Mirowem przewodził, opowiadał, jako gromady niezliczone Rudych, zjawiwszy się niespodzianie nocy wczorajszej, spaliły do cna Polanowo, najdalej od Drewnicy ku zachodowi wysunięte, wyrznąwszy prawie wszystkich w pień, albowiem młodzianek jeden tylko był szczęśliwie uszedł, i ten to o napadzie koło południa im był doniósł. Za siołem Mirowskiem spłonęły

rozsiane ponad rzeką sadyby rybackie, oraz chaty bartników, w puszczach Wyżyńskich położone. Krwawa łuna pod wieczór rozwlokła się nad całem Mirowem, ku któremu dążył lud, uchodzący przed wrogiem.

Z opowiadania nieszczęśliwych zbiegów Sobek wnioskował, że teraz uczynili najazd nietylko Rudzi, sąsiadujący z drewnickiemi opolami, lecz z nimi razem i inni, dziksi i liczbą przewyższający pierwszych. Ciągnęli zaś nie sami zbrojni mężowie, lecz kobiety ich i dzieci, zmierzając kędyś nieznanymi szlaki.

— Nie sposób nam było się opierać, — zakończył swe opowiadanie Sobek, — albowiem sił mamy niewiele. Opuściliśmy przeto Mirowo, co lepszego z mienia pozabierawszy na wozy; przybyliśmy tutaj razem z tymi, którzy ucieczką tylko zdołali uratować życie własne.

— Dobrześ, Sobku, nczynił,—odezwał się Mest,— iżeś garstki swoich na szwank nie naraził; przydadzą się polanowscy witezie, gdy sposobna pora nadejdzie. Działać musimy ostrożnie i chytrze, by nie uledz nawale najezdników.

— Ruszyły się ludy z południa i ciągną ku północnym grodom, ludy srogie i okrutne, znające jeno

miecz i oszczep — wtrącił posępnie Radan, do tej pory w milczeniu stojący obok knezia.

Ogniska się dopalały, rzucając krwawe odbłyski na poobalane stągiewki, kubki i dzbany, porozrzucane podczas biesiady.

— Nadszedł odwieczny wróg, krok w krok od lat niepamiętnych idący za nami; mówili o nim dziadowie nasi, mówiły wieszcze głosy bóstw dobrych.

— Zmożemy ich!

— Ku Białogrodowi ciągną z żonami i dziećmi, by tam kres wędrówce orężnej położyć...

— Niezliczone są gromady witeziów naszych, zarówno na weselne, jak i na śmiertelne gody gotowych.

Pokiwał smutnie swą osiwiałą głową Radan mądry i znowu rzekł:

— Moc wielka w plemieniu naszem; przetacza się ona, jak senna toń morska, w każdej chwili mogąca się obudzić i pochłonąć wszystko naokół, ale nie kieruje nią wola jedna, i to siły część jej odejmuje...

Uderzyły te wieszcze słowa wszystkich obec-

nych, a w serce Mesta wparły się, jak gdyby klinem ostrym.

Przyćmił się mgłą sokoli wzrok knezia, ale wnet znowu gorzeć począł, jak gorzeje podsycone suchem drzewem, tlące się ledwo ognisko.

Mest wstał, a zwracając się ku Radinowi, zawołał:

— Starcze mądry, boski sługo, rzeknij ostatnie swe słowo!

— Kneziu miłościwy, do walki z Białym grodem się sposobisz, do walki onej podnieciłeś gorące umysły drużyny swojej—żali dobrze czynisz?

Gdy Mest te słowa posłyszał, męskie jego oblicze od ukrywanego wewnętrznego wzburzenia drgać poczęło, i wyrzucił z siebie:

— Świętopełk białogrodzki odwiecznym wrogiem moim i ojców moich! Dziadowie jego i on sam zagładę Drewnicy zaprzysięgli. Ufni w bogactwa swoje i lepszą broń, którą im na łodziach olbrzymich przywożą z krańców świata narody kupczące, patrzą na nas, martwy żywot w polanach leśnych pędzących, jak na sługi swoje!

— Więc pójdziecie i wy, z Drewnicy, i oni, z Białego grodu świętego, w pęta najezdników obcych, wciskających się pomiędzy sioła i grody plemienia waszego, jeśli się nie pogodzicie i wspólnie czoła mu nie postawicie!

Mest mruknął ponuro; chciał coś wyrzec, ale się powstrzymał; widocznem było, iż myśli ostatniej nie rad był wyjawić. Po dłuższej dopiero chwili powiedział:

— Zobaczysz, starcze, czego dłoń moja dokona! Jedno słówko twoje trafiło w samo moje serce, a zajęło je pożarem wielkich myśli...

Zaczem miłościwie pożegnał wszystkich, a zabrawszy ze sobą Bolka, udał się z nim razem do wnętrza stołbowej wieżycy, gdzie rad niekiedy noce był spędzał...

Cisza zaległa naokół.

Ogniska jedno za drugiem wygasły. Mrok pokrył wszystko. Po wałach horodyszcza chodziła straż, pilnie czuwając nad bezpieczeństwem, tulącego się nad brzegiem rzeki Białej sioła.

Wiatr podniósł się żywszy i spędzał ku zachodo-

Biblioteka Publiczna Miasta Krakowa

wi czarne chmury, które skryły wnet migotliwe światło miesiąca.

Szedł na horodyszcze gwar głuchy od strony sioła i mieszał się ze szmerem liści, przedwiekowe czasy pamiętających olbrzymich dębów.

II.

Cały dzień następny zbroiła się Drewnica, w oczekiwaniu napaści nieprzyjacielskiej. Wszyscy z mężczyzn, którzy byli zdatni do noszenia broni, mężowie poważni i młódź ochocza — zaciągali się do drużyny kneziowskiej. Rozesłano wici do dalszych okolic, do siół i grodów w pobratymczym, choć luźnym związku z Drewnicą pozostających, by nadesłały posiłki zbrojne.

Mest kierował wszystkiem, był wszędzie, o niczem, co do odparcia wroga posłużyć mogło, zdawał się nie zapominać. Podziwiano też jego doświadczenie, spokój i nadzwyczajną sprawność w działaniu. Ponury Bolko podwajał siły pańskie.

Ufano kneziowi, jak ojcu jednej rodziny; nikt się rozkazaniom jego nie opierał, nikt pod rozwagę wspólną postanowień jego nie poddawał. Radan, który najdawniejsze pamiętał czasy, mówił w gromadzie starszych, jako drewnicki pan przypomina mu witeziów sławnych, co przed wiekami plemię białe ku sławie i chwale wiedli.

Zwożono na horodyszcze ziarno, miód i mięsiwo, mniemając, że wróg zdobywać je zechce. Tamże chowano wszystko, co kto posiadał cenniejszego, nic nie chcąc zostawiać na pastwę losu.

Jakoż o zachodzie słońca drużyna zaległa obozowiskiem nieopodal wieżycy, szczytem swym ostrym groźnie w nurty rzeczne spoglądającej. W chatach pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci, by za danym znakiem zemknąć w lasy nieprzebyte.

Noc przeszła spokojnie, wróg się nie pokazał. Nad samym jednak rankiem przebudzono knezia, albowiem wrócili z przeszpiegów ci, których on w stronę polanowskiego opola był posłał.

Rej pomiędzy nimi wodził ulubieniec Mestowy, wojownik do drużyny kneziowskiej należący, imieniem Wdały.

Pierwszym był na łowach, pierwszym w boju pierwszym w zabawie i tanach. Umiał on rozchmurzyć serce swojego pana, a i do duszy posępnego zwykle Bolka promień wesela wprowadzić.

Nie chciał go też Mest puścić od siebie, albowiem obawiał się, by nie popadł ów ulubieniec w biedę jakowąś podczas niebezpiecznej wyprawy, ale go Wdały ubłagał, obiecując nie tyle śmiałością, ile rozumem się rządzić.

— I cóżeś przyniósł, druhu wierny? — zapytał go Mest, otrząsając włosie niedźwiedzie z kubraka, w którym się był do nocnego spoczynku ułożył.

A Wdały utkwił w swego pana mądre głębokie oczy, i tak, kłaniając mu się do kolan, jął mówić:

— Przebiegliśmy knieje i ostępy wszerz i wzdłuż, wedle rozkazu twego, potężny kneziu! Mirowo spokojnie drzemie na polanie leśnej, nienaruszone przez wroga; trafiliśmy tam na kilkoro niewiast i gromadkę dzieci, którzy razem ze starymi mężami z puszczy pod dachy rodzinne wrócili. Ci opowiadali, że wroga nie widać i że cisza naokół.

Ruszyliśmy dalej. I oto ujrzeliśmy zgliszcza zagród Dzierżykraja, spalenisko po chatach Dobkowych

i wiele zabitego ludu. Krwawe ślady doprowadziły nas do Polanowa; tu, powiewający chwilami wiatr, podsycał jeszcze płonące domostwa Sobkowej siedziby...

Smutek i boleść spadły na dusze nasze, gdyśmy ujrzeli tyle nieszczęścia i klęski. Wszystko, co było, zostało spalone, zniszczone i stratowane. I powzięliśmy zemstę straszną ku Rudym, ale ci, jak gdyby w ziemię się zapadli.

Zachmurzyło się mocno oblicze Mesta, gdy słów tych strasznych słuchał, a nie mogąc dać sobie rady ze wzbierającem w sercu uczuciem zemsty, jął rwać w kawały futro wilcze, które był znalazł pod ręką, i mruczał ponuro:

— Odpłacimy im za to!...

A Wdały tak opowiadał dalej:

— Mieliśmy powracać już, by donieść o wszystkiem, cośmy widzieli, gdy Mojmir przystąpił do mnie, mówiąc:

— „Jakże to powrócimy, w ślepia wrogowi nie zajrzawszy?“

— Więc pomyślałem sobie, że trzeba odszukać nieprzyjaciela i siły jego przeliczyć. Więc ruszyliśmy śladami jego w głąb boru. Bogowie nam sprzyjali, bo

przez pół dnia z całą ostrożnością po lesie stąpając, wykryliśmy na olbrzymiej polanie, z trzech stron moczarami otoczonej, obozowisko wraże. Z przerażeniem wielkiem liczyłem mnogość wojowników, otaczających liczne wozy, na których siedziały niewiasty i dzieci.

Wydali mi się oni, sądząc ze łbów niedźwiedzich i wilczych, któremi przykrywali swoje długie kudły płowe, jako nie byli to Rudzi, sąsiadujący z nami.

— Nie?!..—spytał zadumany kneź.

— Nie, miłościwy kneziu: to jakiś lud na nowe siedziby wędrował, paląc i niszcząc, co napotkał po drodze. Wydaje mi się też, że ci nieznani przybysze o Drewnicy prawdopodobnie nie słyszeli... Może najazd ich nas nie dotknie? Może nie przyjdzie się z nimi zmierzyć i za popalone sadyby nasze odemścić?... Więc mi się żałośnie czyni, gdy pomyślę o tem...

Mest mruknął coś ponuro pod nosem i powstał. Poczem przepasawszy biodra szerokim rzemieniem, za który zatknął nóż ostry, rzekł, kładąc Wdałemu rękę na ramieniu:

— Dobrześ się sprawił wraz z towarzyszami twoimi i ważne przyniosłeś mi wieści, nie zapomnę o tobie...

Wdały schylił się ku kolanom pańskim i nie odchodził.

— A cóż jeszcze masz na sercu, bo widzę niepewność jakowąś na obliczu twojem?

— Było nas wysłanych siedmioro towarzyszów, a wraz ze mną jeno sześciu do Drewnicy wróciło...

— Ostał się więc kto? W niewolę popadł, czy strzałą nieprzyjacielską życia pozbawion? — zapytał Mest.

— Mojmir odłączył się od nas, pragnąc bliżej podejść ku wrogom. Nie pozwalałem mu na to, lecz oparł się, mówiąc, jako musi kneziowi i dobrodziejowi swojemu z samego wrażego obozowiska języka, a wieści pewniejszych dostarczyć. Czekaliśmy na niego w haszczach długich godzin kilka, lecz—że nie powracał, jako był powiedział, musieliśmy przyjść bez niego.

— Szkoda go! — wyrwało się z ust Mesta. — Śmiały był i zbytnio dufał w swoje siły straszne, więc pewnie męstwo swe życiem przypłacił...

Wdały, pokłoniwszy się znowu, odszedł, a kneź, rozkawszy przyrządzić sobie posiłek ranny, rozmyślał

nad tem głęboko, co z ust Wdałego był usłyszał. Żal mu było niezmiernie Mojmira, bo go polubił, a wielce siły olbrzymie w tym człowieku cenił. Błąkało mu się też po głowie, że Mojmir, dostawszy się w ręce wroga, męką zmożony, której mu pewnie nie oszczędzą, wszystko, co wie o Drewnicy, powiedzieć będzie musiał.

Przywołał też niebawem mądrego Radana i Bolka i długo się z nimi nad całem położeniem naradzał.

Dowiedzieli się wkrótce wszyscy w Drewnicy o obozującym za Polanowskiem opolem wrogu strasznym, jako też i o tem, że silny Mojmir, na którego zwykle trzech do zapasów iść zwykło, przepadł bez wieści. Żałowano go powszechnie, ale nikt więcej smutku nie okazał od Agatona i fenickiego młodzianka.

Ci, co z Mojmirem węzłami pobratymstwa i przyjaźni związani byli, przysięgli przed ogniem świętym, jako śmierć jego pomszczą strasznie.

— Sto trupa legnie wrażego za jednego Mojmira!...

— Krwawą stypą uwiecznimy pamięć po nim!

Tak wołali witezie, łamiąc w żałości bezmiernej drzewca swych oszczepów i włóczni.

Agaton, choć więcej od innych strapiony, radował się wielce, widząc taką gotowość do zemsty, albowiem w duszy jego helleńskiej miejsca na przebaczenie i litość nie było. Abibal natomiast przez dwa dni całe nie wychodził z Radanowej chaty, jęcząc w głębokim smutku.

— Zginął wierny towarzysz, przepadł! — powtarzał żałośnie do Agatona, który, jak umiał, starał się młodzieńca pocieszać.

— Nie zginął, wierzaj mi! — przekładał Abibalowi. — Chytry on jest, jak lis, a silny jak tur, da sobie radę. Z niejednej wyszedł on szczęśliwie biedy, więc i z tej wyjdzie...

To było na ustach Greka, ale serce ściskało mu się z bólu, po kilku bowiem dniach nieobecności Mojmira, sam przestał wierzyć w to, czem pocieszał przyjaciela. W głębi duszy też nosił się z chęcią pomsty na tym wrogu, strasznym, nieznanym, o którym wieści okropne po siole chodziły.

Wielokrotnie wzywał go na horodyszcze kneź Mest i kazał sobie o helleńskim sposobie prowadzenia bojów

rozpowiadać. Agaton był niezmiernie rad temu, bo miał możność wynurzenia przed nim swych wspomnień ojczystych.

Roztaczał więc przed księciem obrazy niezrównanych walk, jakie ziomkowie jego na lądzie i morzu toczyli z barbarzyńcami; opisywał uzbrojenie, sposoby podejścia nieprzyjaciela i natarcia na niego w chwilach właściwych.

Drewnicki pan słuchał uważnie, czasami zapytał o szczegół jakiś, którego na razie zrozumieć nie był w stanie, i z Radanem po cichu się naradzał, gdy zostali we dwoje.

— A czy wojownicy wasi potrafiliby rozbić tłumy wrogów dzikich, dla których warunkiem jedynym żywota jest rabunek, a walka krwawa?

Tak pytał kneź Greka, spoglądając na coraz liczniej gromadzące się zespoły witeziów drużynnych.

Na to Agatonowi zaświeciły się błękitne oczy i rzekł:

— Jest u nas lud nie wielki na ilość, ale tak bitny i ufny w swoje siły, że nie otoczył grodu swego pierścieniem ścian kamiennych, choć kamienny jest grunt, po którym stąpa, mniemając, jako najlepszą

obroną jego jest męztwo mieszkańców, — ono bowiem powinno zastąpić najgrubsze mury, najpotężniejsze wały.

— Zaiste, wielkim jest ludek ten, o jakim nam opowiadasz! — zawołał kneź zachwycony.

— Z wieńcami zielonemi na głowach, w najozdobniejszych sukniach biegnie na wroga, przekładając śmierć nad pohańbienie w ucieczce. Ten lud, gdy raz wystąpi, nigdy bez zwycięztwa do swoich nie powraca...

— Wielką jest ojczyzna twoja, skoro takich witeziów na świat wydaje, — odezwał się kneź, każde swe słowo wolno ważąc. — My nie posiadamy ani wozów, tratujących wroga, ani pancerzy i mieczów; broń, z za morza przez kupczących ludzi dostarczana, szczerbi się i rychle kruszy, siła przeto nasza jest siłą ludzi mocnych ciałem, miłością swych ognisk rodzinnych przejętych. Zginiemy wszyscy, a nie damy ich zgubić nikomu; palicami, krzemieniem polnym nabijanemi, rozniesiemy zastępy wrogie, zasypiemy je chmurą strzał, i prostemi oszczepami niezdarnego kształtu wykłujemy!...

Kneź mówił, a witezie drużynni wołali zgodnie:

— Prowadź, kneziu, a wszelką moc ludzką zgnieciemy !...

Agaton w duszy musiał przyznać, że nie barbarzyńcy to, a mężowie, zaufani w swe siły, tak górnie głos podnoszą.

Sam się przeto do nich przyłączył, ile że mu się godnymi tego być wydali.

Aż oto w sam dzień święta Kupały, kiedy cała ludność drewnicka, po godowemu przybrana, gromadnie opuszczała chaty i spieszyła na wzgórze nadrzeczne, ku stosom ofiarnym, które miały zabłysnąć wraz z ukazaniem się na ciemnym szafirze nieba gwiazdy wieczornej, z głębi puszczy wynurzył się oddział drużyny, straż czyniący. Stanęły, w oczekiwaniu jakichś zdarzeń nadzwyczajnych, tłumy gawiedzi ludzkiej i zbliżającemu się z pośpiechem orszakowi zbrojnemu, przypatrywać się poczęły.

— Wróg idzie, rudowłosy nieprzyjaciel nadchodzi! — wołano.

Niewiasty już jęły zawodzić płacz rzewliwy, miasto weselne okrzyki na cześć bóstw białych wznosić, tuliły swe dzieci, składające trwożnie rączęta.

Ci, co wzrok mieli bystrzejszy, w czerwonych krwią jakoby przepojonych promieniach słońca, poznali, że wojownicy byli drewniccy—i ci krzyczeli:

— To nasi!

— Nasi! — powtórzono.

Jakoż orszak przybyłych zatrzymał się i zdawał się czekać na schodzącą z wałów horodyszcza, panującego nad całą okolicą, drużynę kneziowską.

Szedł Mest w otoczeniu siwowłosego Radana, który przy najznaczniejszem ognisku miał czynić ofiary, oraz przedniejszych starców, radę kneziowską sprawujących. Wszyscy byli okryci śnieżnej białości szatami długiemi, na głowach mieli wieńce, z liści młodej dębiny splecione.

Na tem tle z bieli odbijał się czerwienny płaszcz kneziowski, jak krwawa plama.

Zaczem postępowała drużyna pod przewodnictwem Bolka, któremu do pomocy był dodany ulubieniec pański Wdały, a tam dalej tłumnie biegły dworki młodych kneziówien, niosące z kwiecia wonnego uwite różne wianki, przeznaczone do rzucania na szarą toń wód rzecznych.

I wydarł się naraz z tego licznego zgromadzenia ludzi jeden jedyny okrzyk:

— Mojmir! Mojmir!

Jakoż oddział przybyłej drużyny prowadził ku kneziowi olbrzyma, wlokącego na tęgim powrozie jakiegoś rudowłosego człowieka ze skrępowanemi rękoma.

— Mojmir! Mojmir!—rozlegało się wołanie gromkie, z dalszych tłumów ludu idące.

Kneź dał znak, by się gromady uciszyły, i rzekł do przypadającego mu do kolan olbrzyma:

— Tyś że to, Mojmirze?

— Jako sam widzisz, miłościwy panie!

— A ten drugi, którego, ku zdziwieniu wszystkich, pędzisz przed sobą?

— To rudy wróg.

— Skądżeś go dostał? Jak? Opowiadaj, bo ciekawość moja przechodzi granicę rozumienia ludzkiego!

A Mojmir silną dłonią ugiął kark jeńcowi, chcąc go w ten sposób zmusić do oddania hołdu drewnickiemu panu, i rzekł:

— Jeżeli, panie, przybyli ze zwiadów wysłańcy twoi, którycheś był wyprawił z Wdałym na czele, wiesz już początek mojej opowieści. Jam z nimi nie wrócił, albowiem wydało mi się, jakobyś rad pragnął mieć pewniejsze wieści, dostarczone przez usta wraże, więc odłączyłem się od nich, ufny w swe siły.

Nie zawiodła mnie moc moich członków: dotarłem do samych ognisk nieprzyjacielskich i przekonałem się, że niezmierna wokół nich tłoczyła się liczba wszelakiego ludu. To nie najazd raptowny, w celu rabunku czyniony, to ruch jakiś plemienny, do tej pory przez nikogo nie widziany.

Tłumy zbrojnych, a dzikich, jak oto ten, mężów, otaczały wozy, na których siedziała niezliczona moc kobiet i dzieci. Pomyślałem sobie: — „Jak ta siła ruszy na naszą Drewnicę, to ją z oblicza świętej ziemi zetrze, albowiem najtęższy człowiek, by nawet olbrzyma siłę w sobie niósł, nie poradzi z obsiadłem jego ciało mrowiskiem; a zaprawdę, było tego nieznanego mi ludu mrowie całe.

I uchodziłem z tego miejsca precz, przedzierając się przez gęstwinę leśną, by donieść tobie o wszystkiem, miłościwy panie, aż tu naraz zaskoczony zosta-

łem przez gromadkę wrogów, którzy na mnie ze wszech stron byli natarli.

Miałem siła do roboty z nimi, albowiem razem było ich dziesięciu, ale dałem im wreszcie radę. Tą oto palicą — tu Mojmir groźnie potrząsnął krzemieniami ostremi nabijaną maczugą—wytłukłem połowę, reszta zaś rozbiegła się z krzykiem strasznym, pozostawiwszy jednego, który w nogę będąc raniony, nie mógł pospieszyć za nimi.

Przywlokłem ci go też, panie, byś zeń prawdę całą wydobył, albowiem ja sam, ile że on, jako niemy, tylko mruczy, nijak się z nim dogadać nie byłem w stanie.

Kończąc swoje opowiadanie, Mojmir znowu przygiął swą niedźwiedzią dłonią bary pojmanego wroga ku stopom kneziowskim. Niewolnik warknął z bólu, gdy mu się w kark wpiły żelazne palce witezia, i tak już w pół zgięty pozostał.

A Mest, patrząc ze zdumieniem na Mojmira, położył mu rękę na ramieniu, i w te odezwał się słowa:

— Iżeś mi wierny zawsze był, a służyłeś dobrze, bo znaczna jest rzecz, której ci bogowie dokonać po-

zwolili, przeto w nagrodę obok Wdałego i Bolka, przedniejsze miejsce w drużynie mojej zdajesz się zająć być godnym.

A Mojmir pokłonił się głęboko przed kneziem i z duszy całej za łaskę wyświadczoną mu dziękował.

— Gdy ukończymy dzieło wielkie, nad którem dzień i noc rozmyślam, czeka cię jeszcze większa nagroda, ciebie i towarzyszów twoich.

Mojmir wpadł pomiędzy gromadę drużynną i jął kolejno wszystkich w swe ramiona potężne brać i ściskać. Najczulsze atoli powitanie spotkało go ze strony Agatona i fenickiego młodziana, z nimi też na uboczu pozostał, by im po swojemu kolejno o walce z nieprzyjaciółmi opowiedzieć.

Tymczasem Mest rozkazał tuż za sobą prowadzić jeńca w stronę kupalnego stosu, gdzie się ofiary dziękczynne na cześć bóstw wszystkowiednych i ładem ludzi darzących odbyć miały.

Stanęli — w milczeniu głębokiem oczekując wzejścia gwiazdy wieczornej, bo już słońce poza puszczę, za Białą rzeką drzemiącą, ukryło się było.

Wówczas Mest z grona siwowłosych starców przywołał jednego, co długie przedtem lata w niewoli u Rudych spędziwszy, mowy ich zdołał się był wyuczyć. Nazywał się on mąż Witem, był zaś po Radanie najmędrszym w gromadzie, i z nim też najczęściej w izbach swych na horodyszczu kneź gawędził.

Mówiono w Drewnicy, jako Wit nocami z bogami czarnymi po uroczyskach się widuje i od nich wiedzę swą czarodziejską bierze. On jeden podobno żywego człeka, któryby się woli jego śmiał sprzeciwić, w wiłkołaka lub zmorę leśną zamienić potrafił.

Radan był czczony przez wszystkich, ile że bogom białym, dobrym, od niepamiętnych lat był służył; Wita się bano, i do chaty jego jeno, gdy chodziło o odczynienie uroku, lub o lek jakiś, w zielu cudownem zawarty, z tajemną trwogą śpieszono. Gdy zaś klęska jakowaś, posucha lub mór, w siole panowały, spoglądano złowrogo na Witową sadybę, gdzie razem ze swą wnuczką jedyną, hożą i piękną dziewoją mieszkał.

Niechybnie byłaby chata Witowa w płomieniach, mściwą ręką roznieconych, spłonęła oddawna, gdyby nie wyraźna wola kneziowska, u którego czarodziej drewnicki był w łaskach widomych.

I oto teraz, kiedy wszyscy w białe szaty postroili się, a wieńce zielone i kwietne na głowy powkładali, jeden tylko Wit miał na sobie siermięge czarną, a na włosach, siwizną przyprószonych, przyziemną kępkę uschłego mchu.

— Zapytajcie się go, Wicie wieszczy, — odezwał się do czarodzieja kneź:—co zacz on jeniec, skąd pochodzi, co ma w sercu. Niech powie prawdę szczerą. Skoro ją wyjawi, życie ocali swoje, a gdy mu złość wężowy język skręci, czeka go męka straszna, którą zbójców, a opornych karać zwykliśmy. Nocy kupalnej czeka go stos, co tutaj wnet płonąć pocznie... Przy jego jękach śmiertelnych, uczynimy wspominki po zmarłych wojownikach naszych, po ojcach i dziadach, z wysokości gwiezdnej spoglądających na nas, swych potomków.

Wit ponurem wejrzeniem obrzucił skrępowanego jeńca, a oparłszy dłoń na rękojeści noża ofiarnego, zatkniętego za szeroki pas rzemienny, zadał mu w nieznanej dla obecnych mowie kilka pytań.

Jeniec milczał, zacisnąwszy zęby; nie było też na razie wiadomem, czy milczy z uporu, czy nie rozumie tego, co doń przemawiano

— Ten człowiek nie zna widać mowy ludzkiej,— przerwał milczenie ktoś z drużyny.

— Niemym się być wydaje,—przebąknął inny.

— Zaraz przemówi ten wściekły pies wraży, — przemówił złowrogo stary Wit, któremu ze wszystkich żywszych uczuć pozostała w sercu jeno nienawiść ku temu rudemu plemieniu, za to, że z ich ręki padła mu żona, w kwiecie lat młodych zamordowana, oraz czterech synów nieletnich.

I jął do niego znowu przemawiać, kopiąc go od czasu do czasu pogardliwie nogą; wskazywał mu stos, z sosnowych bierwion złożony, wieżę ponurą, sterczącą na wzgórzu, i nurty rzeki Białej, chlupoczące nieopodal.

Ale pojmany człowiek nawet pary z ust wypuścić nie chciał: zgrzytał zębami, z wściekłością próbował mocy krępujących go powrozów.

Więzy były mocne, zbyt mocne, by je wysiłek ludzki zerwać był w stanie.

— Więc nic nie powie? — zwrócił się do Wita hamujący niecierpliwość swoją kneź.

— Wnet mówić pocznie!—zawołał czarodziej.

Aż oto różowy krąg zorzy zgasł był zupełnie, a na

szafirach podniebnej opony zamigotała pierwsza gwiazda, mdlejąca na wysokościach.

Zapalono łuczywa smolne. Mest ujął jedną wiązkę i położył na mchy suche, leżące po wierzchu stosu. Buchnął płomień i począł lizać ogromne kłody dębowe, niby próbując, zali je zmoże.

I wnet rozgorzało ognisko kneziowskie, a naokół płonąć poczęły na wzgórkach, wzdłuż rzeki się wznoszących, stosy kupalne. Uczyniło się widno, jak w dzień.

Wówczas podstąpił ku ognisku Radan, a wzniósłszy ręce ku górze, zdawał się łączyć z duchami ziemi ojczystej w rozmowie cichej. Zaczem podano mu kubek duży, przednim miodem napełniony. Radan wylał płyn na gorejący płomień i głosem jeszcze silnym rozpoczął pieśń na cześć boga białego, który świeci na niebie jasnem, ku pożytkowi i radości wszystkich ludzi, i spuszcza na nich dary swoje.

Podchwyciły tę pieśń prastarą tłumy liczne — i wraz cała spokojna okolica rozbrzmiała tym śpiewem świętym.

Jeniec patrzał na to widowisko, i w oczach zamigotała mu bojaźń i trwoga wielka.

Natenczas Wit znów przystąpił doń i znowu przemawiać począł, a kiedy zeń dźwięku ludzkiego wydobyć nie mógł, zwrócił się do knezia, mówiąc z gniewem:

— Próbie ogniowej poddać go trzeba!

Mest dał znak przyzwolenia z ławy, okrytej czerwienną płachtą, na której był usiadł przed chwilą, mając po prawej ręce dwoje pacholąt, dwóch synków swoich.

Pochwycili wojownicy w mocne dłonie opornego jeńca i nieśli ku ognisku.

Niewolnik jęknął, albowiem niechcący dotknięto jego nogi zranionej, a czując płomień, chwytający się już jego szat, jął po swojemu krzyczeć głosem przerażonym.

— A... teraz mówić będzie! — mruknął ponuro Wit i zbliżył się doń z nożem ofiarnym w ręku.

— Bóstwom czarnym cię poświęcę, jeżeli wszystkiego, co wiesz, wnet z siebie nie wyrzucisz!..— rzekł, mowy nieznanej używając.—Zatopię w twem sercu nóż, w twem sercu, zdradę niosącem!

Oblany gorącym płomieniem, wsłuchany w radosny śpiew, rozbrzmiewający wokrąg, jeniec drżał ca-

łem ciałem, jak liść osinowy, i jęczał z bólu, lecz mówić począł.

Mówił długo, raz mocniejszego, to znowu słabszego używając głosu; niekiedy wydzierał się z jego ust śmiech złowrogi jakiś.

Wit nie spuszczał zeń jastrzębiego wzroku swego, i od czasu do czasu przerywał opowieść krótkiem pytaniem.

A drużyna kneziowska tymczasem pochłaniała mięsiwo, zapijając je przednim młodem. Śpiewy nie milkły ani na chwilę; zaledwie ucichały przy jednem ognisku, wnet tam zdala poczynały się inne.

Z za ostępów leśnych, w puszczy zarzecznej drzemiących, wypłynął miesiąc złoty i swem światłem migotliwem pruszył na trawy, w dolinkach, między pagórkami, rosnące.

Rozgorzały teraz wielkim płomieniem wszystkie ogniska, coraz to świeższemi bierwionami podsycane. I szły iskry i płomienie w górę, ku oponie podniebnej, osypanej rojem gwiazd.

Tam panowała cisza, niezmierny spokój nocy letniej; na ziemi był ruch, rozbijało się wartkie i radosne życie ludzkie.

Kiedy jeniec opowieść swą skończył, kneź rozkazał opatrzyć mu ranę, dać jeść i pić, i pilnie strzeżonego zatrzymać w wieży stołbowej. Zaczem odszedł z Witem na stronę i rozpoczął z nim cichą rozmowę.

— I cóż, zali wielkiej są wagi zeznania niewolnika? — spytał.

Wit ponuro skinął swoją siwą głową.

— Opowiadaj, wieszczy Wicie, wszystko, co wiesz, bo gorzeję z ciekawości.

Usiedli więc pod samotnie rosnącym dębem na polanie.

Wit westchnął głęboko, pomyślał chwilę i rzekł:

— Wieści są groźne, wielki kneziu. Spełniają się przepowiednie, którem był jeszcze z ust mego dziada słyszał.

Szedł za nami w ślad przez wieki całe podstępny wróg, by odebrać to, cośmy wysiłkami i trudem zdobyli.

Szedł, czasami przystawał, zatrzymywał się na dłuższe lata w drodze—wówczas mieliśmy spokój. Teraz atoli nastał ostateczny czas, w którym albo go od-

pędzimy w przestrzenie dalsze, albo ulegniemy jego przemocy.

To już nie rudowłose przybłędy czyhają na nas! Oni zbyt są słabi, by bój na śmierć i życie z nami rozpocząć. Oni byli jeno strażą przednią niezmiernego plemienia, które przez krainę naszą, po ojcach i dziadach odziedziczoną, teraz przeciąga. Gdyby pomiędzy grodowymi panami zgoda była, toby ono rude pokolenie dawno opola nasze niepokoić przestało; starlibyśmy je w proch, ani śladu po nichby nie zostało.

Ale u nas każde sioło, niemal sadyba każda swem tylko życiem istnieć pragnie, w sąsiedztwie swym, wspólnością krwi i obyczajów z nami związanym, wroga widząc.

Więc trwał on wróg, o byt swój spokojny, czekając na nadciągające tłumy pobratymców. Tłumy gromadne nadciągnęły, niezliczone podobno tłumy, którym przywodzi wódz znakomity, nie zwyciężony jeszcze do, tej pory; nazywa się on, ten mąż krwawy, Almanem, a plemiona, które prowadzi, Almanami i Gotami się zowią. Dotknęli oni jedno skrzydłem swych niezmiernych zastępów opolów naszych i pociągnęli wyżej ku północy.

— Ku Białogrodowi świętemu?

— Tak; tam, gdzie świat ziemski się kończy, gdzie szare wody białego morza rozbijają się o brzegi plemiennych ziem naszych... Upadnie gród, bogów chwała, potężny, święty gród on biały. Znieważone będą miejsca, bóstwom naszym ulubione!...

— Przestań tak mówić, starcze! Nie oddamy im grodu świętego!

— Przemocny jest nasz wróg!

— Niezmierzona jest i siła nasza. Ja biały gród ocalę z drużyną moją.

Wit nic na to nie odrzekł, tylko wyciągnął swą starczą dłoń w stronę rozbawionych kupalnem weselem gromad i uczynił ruch, jaki zwykł był czynić przy objacie po zmarłych.

— Starcze, nie ufasz mi?

— Jeszcze nie skończyłem opowieści, kneziu, a czas nagli; słuchaj uważnie dalej. Oto Alman ze swymi pociągnął ku północy, tak mi mówił jeniec, by stratowawszy wszystko w drodze napotkane, natrzeć na Biały gród, a tu pozostawił część swoich, by ci w zgliszcza zamienili Drewnickie sioło z całem jego horodyszczem?

— Co?!..

— Tak, prawdę mówię. Dziś o północy zamierza

wyruszyć na nas ta gromada, albowiem wódz jej dowiedział się z ust pojmanych współplemieńców naszych, że odprawiamy teraz biesiady i gody. Wróg pragnie zastać nas nieprzygotowanych i pobić zdradnie.

— Ha, starcze, o tem wiedzieć chciałem! — zawołał kneź, zrywając się ze swego miejsca.

— Część drużyny mojej stoi w lasach, w każdej chwili gotowa do boju, a inni wraz ze mną wyruszą. Ty, sługo bóstw czarnych, domowych, wodnych i leśnych, rzuć na nieprzyjaciół naszych czar, by im odwagę odjął, wzrok zamroczył, a ja i witezie moi dokonamy reszty.

Rzekłszy to, odszedł spiesznie ku płonącemu ognisku, przy którem siedzieli: Bolko, Wdały i Mojmir, w otoczeniu przedniejszych z drużyny, i gwarzyli pomiędzy sobą.

— Towarzysze wierni, cni i dzielni witezie moi, nadszedł nasz czas...— odezwał się kneź głosem silnym i rozkazującym, a drużyna w zdumieniu wielkiem zwróciła nań oczy.

— Nadeszła nasza pora... Oto Wit wieszczy, sługa czarnych bogów, wydobył siłą swych czarów zeznania z pojmanego przez Mojmira rudego jeńca. Powiada

on mianowicie, jako wyruszyły już tłumy nieprzyjacielskie przeciwko nam, mniemając, że w rozgwarze świątecznym, upojonych zabawą i weselem, tem łacniej pokonać nas zdołają.

Zdradliwy wróg znienacka napaść nas zamierza. Mamyż tu, przy słodkim miodzie i pieczeniach sarnich, czekać, aż przyjdzie i pęta nam na ręce i nogi pokładzie? Zamącono gody nasze, ledwo rozpoczętą biesiadę, co miała przeciągnąć się aż do ukazania się na błękitach niebios Światowidowego znaku, w złocie promieni wschodzącego, trzeba nam przerwać!

Rozszedł się pomruk groźny w drużynnej gromadzie i przeniósł się z wiatrem ku wzgórkom nadrzecznym, gdzie zabawa trwała jeszcze w najlepsze, nie zamącona straszną wieścią.

— Prowadź nas, miłościwy kneziu, prowadź w knieje, zmierzymy się z wrażem plemieniem! — wołano.

— Zmożemy moc jego, jakąbykolwiek była ona silną!

— Nie oddamy na pohańbienie ognisk naszych!

— Pokażemy im moc swoich ramion, my, witezie drewniccy!

Takie drżały w ciepłem powietrzu nocy kupalnej,

nocy świętej, okrzyki gromkie — drżały, wzmagały się i toczyły w dal, jak się staczają fale rozigrane na spokojny brzeg morski.

A tam naokół wrzała zabawa. Dziewoje hoże, społem z młodzieżą męską, pochwyciwszy się za ręce, przeciągały długim korowodem wkrąg ognisk kupalnych, pieśni radosne, jedną po drugiej, zawodząc.

— Niech żyje nasz kneź, Mest, drewnicki mężny pan!—ryknął potężnym głosem Mojmir, a drużyna, powtórzywszy wielokrotnie ten okrzyk, na ramiona swe porwała wodza i poniosła go ku dalszym ogniskom.

Niebawem wszyscy już wiedzieli, jako wróg poprzez lasy ku drewnickiemu horodyszczu dąży.

Zamilkły nagle śpiewy, i niewiasty ogarnął przestrach silny, a niepodsycane stosy płonące, słabiej gorzeć poczęły. Miasto wielkiego wesela, jak chwilą przedtem, nastał smutek tem większy, bo niespodziewany.

Ale kneź rozkazał gęślarzom w struny znowu uderzyć, a dziewojom śpiewać dalej, tak, jakby nic nie zaszło, albowiem nie chciał, by wróg z oddali jakowąś zmianę nagle zaszłą był dostrzegł.

Więc świętowano dalej, udając wesele, choć w duszach rozjęczała się trwoga i niepewność smutna.

Kiedy zaś północ nadeszła, i czas szukania cudownego kwiecia paproci się zbliżył, na polanie przed grodem drewnickim pozostali jeno starcy, kobiety, a młodzież nieletnia i dzieci.

Mest tymczasem, zebrawszy wszystkich wojowników drewnickich i tych, co byli na święto Kupały z okolicznych opolów do podnóża horodyszcza się zbiegli, powiódł ich na nieprzyjaciela.

Nie wymawiał się nikt; kto tylko posiadał zdolność w członkach do noszenia broni, szedł za kneziem w lasy i knieje, bronić swej ziemi ojczystej od wrażego plemienia.

Odeszli i męże od ognisk swych rodzinnych, pozostawiając na wolę losu, a na łaskę kneziowską żony swoje i dziatki; odeszli i młodzi, co tej nocy kupalnej szczęśliwego kwiatu paproci szukać mieli; odeszli i ci, którym odniedawna dopiero włosy długie postrzyżynowym nożem skrócono.

I biegli za mężnym kneziem, ufni w siły swoje, a mądrość jego niezmierną. Udał się także na ową wyprawę jeden jedyny człowiek, któremu wiek szronem włosy był drugie przypruszył, a był nim wieszczy Wit, czarodziej sławny, ofiarnik bogów czarnych i służbę

wierną bóstwom wojny czyniący... On w każdej potrzebie z orężem w ręku brał udział od najmłodszych lat swoją mądrą radą służąc kneziom i zemsty na zniszczone ognisko domowe, za śmierć żony i synaczków niewinnych na polu walki szukając.

A tam, na pagórkach, nad nurtami Białej rzeki, zdało się trwać dalej wesele wielkie; przy podsycanych ciągle ogniskach brzmiały, choć osłabłe nieco, śpiewy kupalne.

III.

Przedzierali się przez gęste haszcze drewniccy witezie, nadsłuchując uważnie, czy szmeru jakiego, blizkie niebezpieczeństwo zwiastującego, nie dosłyszą.

Stąpali ostrożnie, a tak cicho, iż trzebaby było niezmiernie czujnego ucha, by po tym szeleście sprawianym krokami stąpającego mnogiego ludu, groźne zastępy wojowników mogło było rozróżnić.

Ukośnie promienie miesiąca srebrzyły do połowy pnie drzew wiekowych, zostawiając w cieniu zupełnym ziemię, usypaną miękkiem igliwiem i liśćmi uschniętymi.

Naraz Mest dał znak do zatrzymania pochodu, albowiem odbiło mu się o uszy przeciągłe hukanie

dwóch puszczyków. Hukanie zaś owo ponawiało się z dwóch stron w jednakowych odstępach czasu.

— To nasz Samek daje znać o sobie... — szepnął cicho Bolko, idący tuż obok knezia i starego Wita.

— Tak, to jego znak... — potwierdził Mest równie cicho i wnet polecił Wdałemu, by w odpowiedzi krakaniem wroniem się odezwał.

Zakrakał Wdały, przedziwnie głos wroni naśladując, a odpowiedziały mu natychmiast głosy puszczyków.

Zaczem znowu zapanowała cisza grobowa, przerywana jedno od czasu do czasu łopotaniem skrzydeł ptactwa czujnego, co się budziło w swem ukryciu na drzewach.

Wiatr szumiał lekko, pomykając pomiędzy liśćmi wyniosłych dębów, skąpanych w poświacie miesięcznej. A tam, w górze, na niebieskim płaszczu, rozpiętym nad wonią kwiatów i traw przepojoną ziemią, w lubem omdleniu drżały gwiazd niezliczonych zawieje.

Czar nocy kupalnej, nocy, w której rozkwita cudowny kwiat paproci i czeka na szczęśliwego śmiałka,

co go znaleźć potrafi, panował wszechwładnie nad puszczą.

Aż oto znowu huknął zawodny puszczyk, ale już znacznie bliżej kroczącej naprzód drużyny; odpowiedział mu natychmiast witeź Wdały krakaniem wroniem tak przeraźliwem, iż wydało się tym, co o znaku umówionym nie wiedzieli, że złowrogi ptak jakiś kołuje nad gromadą trupów ludzkich.

Zaczem zaległo milczenie, trwające przez szereg chwil dłuższych.

Naraz z pomiędzy leszczynowych krzaków, wysunęło się kilku zbrojnych wojowników.

Byli to ci, których dnia poprzedniego sam kneź na wywiady w puszczę był wysłał. Za nimi ukazali się inni, z Samkiem na czele.

Zoczywszy knezia, odzianego w czerwienią krwistą nasycony kubrak, podbiegli ku niemu.

— Upatrzyliście wroga? — zapytał Mest, rozkazawszy drużynie całej zgodnie przystanąć.

Samek, nizkiego wzrostu, a olbrzymich ramion mąż, jął opowiadać półgłosem o tem, co był razem ze swoimi w ciągu dnia i nocy ubiegłych dokonał i z czem właśnie z pośpiechem na horodyszcze dążył.

Jakoż nad wieczorem dostrzegł ze swego ukrycia, że nieprzyjaciel chyłkiem zajął Mirowo, ale go nie palił, inne widocznie, pilniejsze, mając do uskutecznienia plany. Potem do tegoż sioła z puszcz dalszych nadbiegły inne gromady, liczniejsze jeszcze, i z poprz edniemi się połączyły.

Część pochowała się w chatach, opuszczonych przez właścicieli, a reszta z orężem w ręku odpoczywała nieopodal, obawiając się widocznie niespodziewanego napadu.

Nie byli to Rudzi, ale jacyś inni, straszniejsi jeszcze wyglądem — wszyscy mężowie na schwał, ogromni i silni. Naliczono ich też mnogość wielką.

Odpoczynek trwał krótko: wyszli wodzowie i znak do dalszego pochodu dali swym wojownikom. Ruszyły one gromady, rozdzieliwszy się na dwie połowy, z których jedna ukryła się w lasach nadrzecznych, a druga pomknęła przez bory ku zachodowi.

Tak oto zamierzał wróg uderzyć na kupalnemi godami rozochocone sioło drewnickie.

Mest wysłuchał z wielką uwagą tego, co mu opowiadał Samek, a po krótkiej naradzie z Witem, Bolkiem i kilku innymi tęższej głowy i większego sprytu

mężami, rozkazał, by część drużyny mniejsza poszła ku kniei nadrzecznej i tam się z nieprzyjacielem rozprawiła. Gromadzie onej miał przewodzić Bolko, zwłaszcza, że znajdowały się tam urządzone przezeń leśne zasieki i doły głębokie, po wierzchu gałęziami poprzykrywane, jako zasadzka na wrogów; poszedł więc i on, by wskazywać swoim niebezpieczne te miejsca, inaczej oni sami zamiast nieprzyjaciół, mogliby w nie powdadać.

Gdy Bolkowi wojownicy oddalili się, kneź zwrócił się do Wita, którego umyślnie przy sobie zostawił, mówiąc półgłosem:

— A teraz, starcze, poprowadź nas temi ukrytemi ścieżynami i jarami, które znasz doskonale, bom się o tem sam nieraz przekonał; poprowadź nas tak, abym mógł wroga w bagnach mirowskich podstępnie wytracić!

Wit skinął swoją siwą głową na znak, że uczyni wedle zlecenia kneziowskiego. Ruszył więc przodem, opierając się na grubym koszturze, który w razie potrzeby, mógł być użyty, jako broń w walce. Szedł pomimo swych sędziwych lat spiesznie, wypatrując między drzewami ledwie widoczne drożynki, jemu

tylko znane; nie zatrzymał się w niepewności ani razu.

Kroczyły za nim gromady liczne wojowników kneziowskich, zaufanych w wieszczy rozum starego czarodzieja drewnickiego, o którym powszechnie mówiono, że z duchami i bóstwami leśnemi w zawody mógłby iść pod względem odgadywania wszelkich tajników puszczańskich.

Wit nieraz podprowadzał knezia i jego drużynę w takie ostępy dzikie, gdzie podeszłe tury i żubry śmierci spokojnie oczekiwały, skubiąc miękką trawkę bez żadnej bojaźni przed mijającymi ich wojownikami.

Księżyc, który do tej pory przyświecał wyprawie, schował się poza chmury, nadbiegające chyłkiem od wschodu; uczyniło się wskutek tego tak ciemno, że tylko bardzo ostry a silny wzrok, mógł w tej puszczy drogę wynajdować.

Wit jednakże zdawał się wszystko widzieć, ani razu nie przystanął bezradnie; szedł, kierując się widocznie nie tyle spojrzeniem, bo ono na nicby się prawie nie zdało, ile czujnością nadzwyczajną wszystkich zmysłów,

Za nim posuwały się zbrojne gromady, ożywione jednem i tem samem pragnieniem — zmierzenia się z wrażem plemieniem.

Noc już przejaśniała się, gdy Wit się zatrzymał wśród gęstego zagaju, i rzekł do knezia.

— Miłościwy panie, oto trzy jary w tem miejscu się poczynaju trzy gardziele leśne, któremi można posunąć ku wrogowi tylu wojowników, ilu tylko będziesz pragnął. Możesz go temi zdradnemi szlakami wtłoczyć w bagniska, otoczyć i wyciąć w pień.

— Ani jeden więc cało stąd wyjść nie powinien... — mruknął posępnie Mest, i począł wydawać stosowne rozkazy setnikom swoim.

Uczynił się ruch. Jeden oddział wyruszył wprost jarem ku kępom leszczyny, okalającym w podkowę łączkę, nad którą rozsnuwał się tuman mgły szarej; dwa inne posuwały się zagajami w celu oskrzydlenia nieprzyjaciela.

Świtało. Opary, drzemiące nad bagniskiem, mającem pozór rozległej łąki, uniosły się cokolwiek ku górze, roztulając z chłodnego powicia trawy wysokie i twarde, kępy sitowia i trzciny, rozrzucone gdzieniegdzie.

Powoli budzić się poczęło życie w puszczy. Zatrzepotał na drzewie ptak, jeszcze senny, i zaświergolił przelewnie; wnet odezwały się i inne, niby odpowiadając na to wezwanie.

I znowu nastała cisza tak wielka, że mogło się wydać, jakoby knieja jeszcze raz marzenia swe senne powtórzyć pragnęła. Tymczasem od zachodu pociągnął wiaterek, i niby zaklęty duch leśny jął zwawo pomykać pomiędzy liśćmi ku dalszym ostępom kniei. Uciekały cienie mroczne, niby z obawy, by je następujący szybko brzask dzienny nie pochłonął doszczętnie biegły one za matką swą nocą, która już odeszła, czekając nanowo pory właściwej.

Aż oto znów się ocknęła puszcza, tym razem jednak na dobre. Słychać było stłumiony tupot, trzask suchych gałęzi i poryk radosny: to ciągnęły stada łosi ku jeziorkom.

Wnet potem rozległo się dudnienie, idące z kniei, tak silne, iż zdało się być burzą, huczącą gdzieś na dalach: to dziedzice puszczy, tury i żubry, biegły wślad za łosiami i jeleniami ku wodzie.

Zadrżało pasmo nieba różowe na wschodzie, poczęło się kurczyć i zbiegać, nabierając barwy czerwieni,

przesyconej płynnem złotem. Mieniła się ta zasłona, umajona od dołu zielenią olbrzymiego wieńca, splecionego z liści dębowych, z pośród których strzelały w górę bazie świerkowe.

Wzmagało się życie w tym niezmierzonym borze, co czekał, radości pełen, na spojrzenie ognistego króla, panującego z wysokości.

Naraz z dwóch przeciwległych zboczy parowu, okalających łączkę, w której pod pokryciem zieleni bujnej drzemały jeziorka błotne, dało się słyszeć przeraźliwe krakanie wron.

Abibal, który uzbrojony oszczepem postępował obok Agatona, odezwał się głosem trwożnym:

— Złowieszcze to ptaki: czują nadchodzącą śmierć... może w ten sposób nasz koniec oznajmiają?...

— Może nasz, może wrogów naszych... — wtrącił posępnie Agaton. — Za chwilę rozpocznie się krwawy bój...

— A z kimże, bo ja tu nigdzie wroga nie widzę?...

— Samek nam go zwiastuje.

— Samek?

— Tak, to on wraz ze swoimi zakrakał—i dodał:

— Walcz mężnie, Abibalu, by nie powiedziano, żeśmy podczas naszej łułaczki odwagę stracili. Przyjęto nas tutaj, jako swoich, świadczono nam pomoc w niedoli; pokażmy, że godni imienia przyjaciół drewnickiego pana i jego ludu jesteśmy. Jeżeli wróg pokonany zostanie, nastąpi wówczas dla nas zmiana losu, gdy on nas pokona, złożymy w tej puszczy kości nasze.

Abibal słuchał słów przyjaciela spokojnie; trwoga od jego serca odeszła, czuł zbierające się męztwo w duszy. Uścisnął serdecznie dłoń Agatona i powiedział:

— Starać się będę, bym się stał godnym twoim towarzyszem... Ojczyste bogi pomogą mi w tej walce krwawej, która się ma zacząć. Bądź zdrów i noś w sercu pamięć o mnie, gdy mi los dzisiaj poledz rozkaże!

Ledwie domówił tych wyrazów, gdy z głębi boru wynurzyła się gromadka uzbrojonych mężów o srogich obliczach. Na przodzie, z siekierą w ręku szedł olbrzymiego wzrostu wojownik, za całe okrycie mający skórę niedźwiedzią na barach. Szedł powoli oglądając się naokoło.

Za oną gromadką pierwszą walił już cały tłum zbrojny.

W tej chwili w głębi puszczy powstał krzyk straszny, który zagłuszył świergot ptasi, a wtórowały mu poryki zwierząt, wystraszonych.

Gromada nieprzyjaciół naraz stanęła, albowiem wódz dał znak zatrzymania się, poczem na jego skinienie, zawróciła na miejscu, widocznie w zamiarze uderzenia całą siłą na tych, co nacierali z tyłu.

Widać było w oczach tych ludzi groźnych zdumienie wielkie połączone z wściekłością.

I ruszyły gromady z powrotem, sunąc wzdłuż zbocza. Wdały, spojrzawszy po otaczających go towarzyszach, krzyknął, podniósłszy do góry swą potężną maczugę:

— Kupała!... Kupała!...

A za nim powtórzyła drużyna ten sam okrzyk i zbitą gromadą wypadła z zagajów.

Powstało straszne zamieszanie, albowiem nieprzyjaciel ani przypuszczał, że zostanie naraz z dwóch stron zaskoczony. Rozpoczęła się walka.

Wróg stawiał mężny opór i raz w raz skupiał swoje siły. Padły pierwsze szeregi drewnickich witezi

i zasłały ziemię, lecz wnet następne natarły, spychając nieprzyjaciół ku łące zielonej, z której porykując,uciekały łosie i jelenie wiadomemi dla nich tylko ścieżynami i dróżkami.

Fatalnie się staczał wróg ku zdradnej płaszczyźnie, ale się usilnie nie dawał zepchnąć, snać przeczuwając czyhającąc nań zgubę.

Jakoż niektórzy, co w ucieczce ratunku szukać chcieli, dostawszy się pomiędzy trzęsawiska, ugrzęźli w niem po kolana i z okrzykami przerażenia próbowali znów wydostać się na ziemię twardą.

Wszystko było napróżno, wymachując więc drzewcami oszczepów, brnęli dalej, czepiając się kęp, trawą wysoką porosłych, gdyż napierali na nich inni towarzysze skutkiem nacisku pierwszych szeregów, walczacych z czoła.

Widział to przywódca ich, jak zapadali w trzęsawisko wojownicy, bezradnie szamocząc się w moczarach,—i ważąc w szerokiej dłoni swą straszną siekierę, ruszył na czele innych ku zagajom.

Zastąpił mu drogę Wdały i starł się z nim. Zawarczała siekiera w powietrzu, i już spaść miała na drewnickiego witezia, gdy ten nagłym ruchem odsko-

czył w tył. Wówczas wróg z nabiegłemi krwią oczami, w których pałała wściekłość i nienawiść, zamierzył się po raz drugi, ale i tym razem chybił

Więc rzucił się na Wdałego po raz trzeci, ale próżny był jego wysiłek: rozrąbał głowy dwom drewnickim rycerzom, Wdałego jednak dosięgnąć nie mógł.

Naraz Wdały skoczył ku niemu, i zanim tenże opamiętać się zdołał, tak silnie go grzmotnął palicą, że zmiażdżył mu ramię. Ryk przeraźliwy wydarł się z potężnych z piersi strasznego wojownika, siekiera wypadła mu z dłoni. Ale już nadchodziła pomoc...

Zaczęła się walka gromadna. Wdały gromił wrogów, siejąc popłoch w ich szeregach i śmierć.

Wróg ciągle ściągał swoje siły. Snać obawiając się zasadzki w zagaju, przedzierał się ku wielkiej polanie na wzgórzu.

Wdały już teraz zebrał swoich, walczących luzem, i parł wroga ku krzakom leszczynowym, ale widział z rozpaczą, że obręcz żywa, którą się kusił opasać nieprzyjacielską gromadę, pęknie lada chwila.

Wódz najezdników, straszny, z obwisłem i pokrwawionem ramieniem, które mu Wdały zranił bo-

leśnie, wytrąciwszy mu jednocześnie straszną broń z ręki, wydawał swoim rozkazy, zmagając się z cierpieniem. A wojownicy jego parli posłusznie naprzód, ku owej polance zbawiennej, odpierając nacierające na nich z czoła gromady drewnickich. Walczyli oni teraz już nie o zwycięztwo, a tylko o ocalenie życia; starali się wydostać z zasadzki, uciec jak najdalej od onej zdradnej łąki, w której już część ich towarzyszów śmierć znalazła.

Wtem nastąpiła rzecz niespodziewana. Oto wypadł z zagaju Mest wraz ze swoimi i z okrzykiem:

— Kupała! Kupała!... — wdarł się klinem w szeregi nieprzyjacielskie.

Słońce krwawo wschodziło, rzucając zawieje promienną naokół, gdy się rozpoczęła ogólna walka.

Z ogromnym oszczepem w ręku biegł kneź Mest, a za nim podążał stary Wit mający na głowie wieniec z szarego mchu. Otaczała ich gromada witezi, lawiną zwalając się na wroga. Ci, co byli w pierwszym szeregu, wnet padli, zmożeni silnem natarciem. Mest zwalił na ziemię jakiegoś ogromnego męża, przebódłszy go ostrzem swego oszczepu nawskróś, a stary Wit nienawiścią pałającym wzrokiem szukał dla siebie

ofiary. Szukał i znalazł, podstępnie wbiwszy swój nóż po samą rękojeść w serce jednemu z wojowników, co obskoczyli drewnickiego pana.

Wojownik padł; natenczas straszny starzec podniósł ociekający świeżą krwią nóż do góry i głosem ponurym wyrzucił z siebie przekleństwo na rudego nieprzyjaciela!

Posłyszeli je witezie i jeszcze silniej nacierać poczęli. Załamał się tłum najeźdźców, jak się łamie fala na powierzchni wód, gdy ją inna przetnie, ale wytrzymali natarcie i zwarli się gromadnie.

Mest szedł naprzód, jak burza, i rozsiewał swym strasznym oszczepem zniszczenie; za nim biegli w ślad towarzysze wierni, rażąc tęgiemi palicami i ostremi siekierami nieprzyjaciół, wysypujących się ciągle na polanę z gęstwiny leśnej.

Naraz rozległ się straszny krzyk, bo oto ujrzano padającego na wznak olbrzymiego wodza, który wysunąwszy się naprzód, przeszyty został strzałą, puszczoną znienacka przez krwią oblanego Samka. Powstało zamięszanie, trwające chwilkę tylko, jedną straszną chwilę, zaczem znowu zwarły się szeregi i utworzyły niby mur naokoło trupa poległego wodza. Walczono

teraz o każdą piędź ziemi, zlanej krwią. Łamały się ogromne drzewca oszczepów, pryskały siekiery i młoty kamienne; uczynił się ogólny łoskot i szczęk tak straszny, że tłumił przeraźliwe wycia i jęki ścielących się gęsto na ziemię zapaśników.

Ale ów klin drużyny Mestowej wbijał się coraz więcej w utworzony z żywych ciał mur... jeszcze jeden silniejszy napór — i szeregi zostały złamane. Jedna część wciąż walczyła dalej, ustępując powoli ku zachodniej części polany, a druga, znaczniejsza, osuwała się ku zboczom parowu, ku bagnu, w które ich spychał kneź ze swoimi.

Chwila była straszna w swej grozie, albowiem ci, co się dostali w gęste sitowia moczarów, grzęźli w nich bezradnie, szerząc okrutny popłoch wśród tych, którzy w pierwszych szeregach walczyli.

Wówczas Mest dał znak Samkowym łucznikom, by dokonali dzieła zniszczenia. Stanęły też zaraz szeregi onych ludzi, co z broni łuk nadewszystko ukochali, i jęli razić gęsto strzałami najpierw tych, którzy jeszcze na twardem dnie parowu obronną postawę zajęli.

Więc gdy padli pierwsi pod strzałami, inni bez opamiętania biegli ku kępom trawy, ukrytym między trzcinami. Ale kępy były ruchome, i wraz z tymi, co na nich stopy swe oparli, zapadać się jęły w głębiny błotne.

Mest, widząc, że ta część wrogów zupełnie startą została, pośpieszył ku Wdałemu, mocującemu się z pozostałymi na polanie.

Wdały z rozognionem obliczem, krzycząc zawzięcie, posuwał się z gromadą swoich, pragnąc otoczyć nieprzyjaciela i w pień go wyrąbać. Ale wróg się nie dawał, walcząc wytrwale; nie pozwalał się też zepchnąć ku zboczom parowu, gdzie go czekała ta sama klęska, której ofiarą padli ci, co nie mogli wytrzymać strasznego natarcia drużyny Mestowej.

Znalazł się pośród nich jeden człek niewielki, ale okrutnie silny, który przewodził w walce. Wydawał chrapliwym głosem rozkaz — słuchano go i posuwano się ku kniei.

Wówczas Agaton, którego męstwo helleńskie wzbudzało podziw wśród witeziów, postanowił z niewielką gromadką uderzyć z tyłu na tłum nieprzyjacielski i sprawić w nim zamięszanie. Zostawił więc

Wdałego i z dziesiątkiem drewnickich witeziów nieznacznie wysunął się z szeregu walczących i chyłkiem przedzierał się ku tyłom. Na froncie wrzała walka.

Nieprzyjaciel, czy dojrzał ten manewr, czy go przewidział, dość, że zanim Grek zdążył wychylić się z lasu, już nań wpadło kilkunastu wojowników i z wściekłością natarło.

Agaton krzyknął o pomoc, ale towarzysze jego, zoczywszy niebezpieczeństwo, ruszyli z powrotem.

Wtedy Agaton oparł się o drzewo i z wyciągniętą przed siebie włócznią krwawą oczekiwał na wrogów. Wiedział, że padnie, więc postanowił drogo swoje życie sprzedać.

Jeden z napastników rzucił się nań z oszczepem, ale wnet runął z jękiem na trawę, rażony przez zręcznego Greka. Więc towarzysze jego natarli razem. Agaton bronił się, jak lew, ale napróżno; obstąpiono go ze wszystkich i wytrącono mu broń z ręki.

Nie było rady; wyciągnął przeto swój nóż helleński z za pasa, i zadając razy w prawo i w lewo, próbował przedrzeć się przez żywy pierścień, który go ze wszystkich stron otaczał.

Wtem któryś z wojowników uderzył go po ręku palicą tak silnie, że nóż z niej wypadł; natenczas napastnicy rzucili się nań, i oplątawszy mu sznurami ręce, popędzili wgłąb puszczy.

Ciągnięty i popychany biegł Grek razem ze zwiększającą się coraz gromadą uciekających nieprzyjaciół. Dochodziły go jeszcze odgłosy walki, ale coraz to słabiej; był teraz już pewnym, że ci, co biegli za nim, należeli do szukających w ucieczce ratunku.

Krwawy bój się skończył. Tryumfował Mest, zasławszy pole walki trupami wrogów.

IV.

Radość wielka zapanowała w Drewnicy, gdy się dowiedziano o zwycięztwie.

Wrócił Mest ze swoją drużyną, która tak dzielnie się sprawiała w jarach mirowskich, wrócił Bolko ze swoimi, pobiwszy sromotnie wroga w lasach przylegających do horodyszcza. Przyprowadzono w tryumfie mnóstwo jeńców, których znaczna część odniosła rany na polu bitwy.

Całe sioło wyległo na szeroki gościniec, z okrzykami wesela witając zwycięzców.

Była też i niezmierna żałość z powodu śmierci tylu mężnych witeziów. Kneź rozkazał przynieść ich ciała na wzgórza nadrzeczne i tu uroczyście spalić na

stosach wedle odwiecznego zwyczaju. Potem, z jego też rozporządzenia wydano na cześć poległych bohaterów stypę wspaniałą, jakiej nawet najstarsi mężowie drewniccy do tej pory nie widzieli.

Jedzono i pito obficie, wznosząc okrzyki na cześć Mesta, który tak mądrze pokierował całą wyprawą, raz na chwałę tych, co sławnie w obronie ojczystego grodu na placu boju kości swe byli złożyli. Kobiety zawiodły tęskny, żałościwy śpiew, połączony z tłumionym płaczem. Matki opłakiwały synów, niewiasty — mężów, a hoże dziewoje — swoich ukochanych. Drużyna zaś, obsiadłszy ogniska, słuchała pieśni starych gęślarzy, pieśni weselnych, przypominających po raz tysiączny czyny sławne, dokonane przez tych, których śmierć zabrała do nowego życia, jako też i onych żyjących, co na chwałę i pamięć wdzięczną zasłużyli.

Imię Mesta było na ustach wszystkich, widziano w nim wodza niezwyciężonego i ojca najlepszego, bo cała Drewnica stała się teraz jakoby jedną wielką rodziną. Prócz tego, z podziwem spoglądano na Bolka, albowiem dzięki jemu głównie całe gromady hufców nieprzyjacielskich znalazły śmierć pod ciężkiemi pniami drzew i w dołach głębokich, zdradliwie po wierzchu

gałęziami przykrytych. On jeden tak mądrze pokierował, iż wróg wpadł w zasadzkę, zdawna nań oczekującą.

Posępny zwykle Bolko rozchmurzył swoje oblicze surowe, i on, tak zawsze milczeniem pokrywający wszystkie myśli swoje, rozgadał się na dobre. Trzymał w swych szerokich barach olbrzymiego Mojmira, na którego do tej pory z pewną nieufnością zawsze spoglądał, i niemal z płaczem dziękował mu za ocalenie życia.

Dowiedzieli się też wszyscy o czynach Mojmira, a były one tak niezwykłe, iż niemal wyobrażenia ludzkiego moc przechodziły.

Przypominano sobie, jak piorunowo raziła wrogów palica tego olbrzymiego męża, jak tryskał mózg z czerepów rozbijanych, jak pod naciskiem jego potężnych ramion, zwalały się kłody na całe gromady wrogów.

Czyny były nadludzkie poprostu, to też zaraz dostarczyły one wątku dla gęślarzy, którzy je dla potomności w pieśni bojowej przechować mieli.

Kneź ze swej strony nie zapomniał o Wdałym; trzymał go przy sobie i rad opowiadał, czego dokonał

ten śmiałek. Więc podnoszono na ramionach Wdałego, który, nie zważając na ciężką ranę, otrzymaną w boju, w stypie brał udział.

Nadeszły znowu dni spokojne — po wrogu i ślad zaginął, pozostało jedno wspomnienie. Wszyscy wrócili do codziennej pracy na polach i niwach; wybrali się też z powrotem polanowscy i mirowscy ludzie, aby znów spalone chaty i zagrody odbudować.

Uspokojono się zupełnie, zapominając powoli o wrogu.

Kneź jednak podwoił ostrożność. Z jego rozkazu otoczono horodyszcze nowym mocnym częstokołem; zaczęto też kopać głęboki rów, który miał sadybę pańską zabezpieczyć od wroga. Do roboty tej użyto jeńców co zdrowszych, słabych i rannych zostawiwszy w izbach więziennych.

Mest na wszystko dawał pilne baczenie, wszędzie zdawał się być obecnym. We dnie naradzał się z Bolkiem i Radanem, a nocami — ze starym Witem, który codziennie na zamek zaglądał.

W chacie Radanowej panował smutek, z powodu zniknięcia Agatona; nikt nie wiedział, co się z nim stało, najróżnorodniejsze wieści krążyły po siole.

Przeszukano wszystkie zarośla mirowskiej kniei, ale nigdzie na ślad zaginionego nie natrafiono. Abibal rozpaczał tak strasznie, iż ani stary Radan, okazujący wielką czułość dla młodziana, ani Mojmir nic na jego żal poradzić nie mogli.

— W pęta niewoli się dostał — mówili ci, co z nim dla zajścia wrogowi tyłów, byli poszli.

— Odbijemy go napewno! — wołał Mojmir.— A jeżeli śmierć już poniósł, to ja mu w krainę duchów stu wojowników nieprzyjacielskich wyszlę!

Abibal, słysząc to, płonął żądzą nowych bojów, gdyż zapragnął gorąco, albo wyzwolenia przyjaciela, albo zemsty krwawej.

— Czemuż ja z nim nie poszedłem, — mówił do Mojmira — byłbym go może uratował...

— Gdybym ja tam był — mruczał Mojmir — siedziałby tu teraz w Drewnicy mój druh kochany.

— Jestem teraz sam!... — tęsknie zawodził młodzian.

— Panie, pamiętaj, — odpowiadał olbrzym,—jako prócz towarzyszów swych drewnickich masz mnie, a ja ci wierności dochowam.

I tak oto gawędzili co dnia Mojmir z Abibalem o wieczornej porze.

A stary Radan przynosił im z horodyszcza wieści o tem, jako kneź gotuje się do nowej wyprawy, tym razem większej, niż poprzednia.

Jakoż było to prawdą. Mest rozesłał znowu wici, i znow napłynęły gromady ochoczych do boju witeziów.

Tym razem kneź poprowadził swoją drużynę ku siedliskom Rudych, zamierzając się zemścić za napaść, dokonaną przez ich plemiennych pobratymców. Trzy dni brnęła tajemniczemi szlaki drużyna drewnicka, aż stanęła na ziemi, zajęty dawnemi jeszcze czasy przez przybłędów z południowych krain.

Ruszono prosto na ich gród. Jakież jednak było zadziwienie wszystkich, gdy natrafiono tylko na zgliszcza.

— Uciekli ze strachu przed nami, dowiedziawszy się o porażce sromotnej! — wołali w drużynie.

— Opuścili siedziby swoje z przerażenia na wieść o klęsce, poniesionej przez pobratymców własnych... — powtarzano sobie.

Zawiedziona była w oczekiwaniu walnej rozpraw z odwiecznym wrogiem swoim drużyna drewnicka; zawiedziona, ale i dumna zarazem.

— Boją się nas... Wiedzą teraz te podłe przybłędy, jak się krwawo z nimi rozprawiać potrafimy. Zmożemy wszystko, co nam na drodze stanie, zniesiemy wszystko z powierzchni ziemi, co tylko opór stawić nam będzie śmiało.

Zajęto też zaraz ziemię, przez Rudych opuszczoną, w posiadanie wieczne.

Miało tu stanąć na onych zgliszczach nowe sioło. Rzucono się do knezia z prośbą o wyznaczenie z drużyny osadników, albowiem miejsca one, miały ziemię urodzajną, a knieje obfitowały we wszelakiego zwierza.

Kneź z radością słuchał wojennych okrzyków swoich witeziów, oznajmił atoli, że dopiero gdy burza wojenna przeminie—grunta, opuszczone przez wrogów, rozdawać pocznie.

Zostawił jedynie kilkunastu ludzi, by straż czynili a chyłkiem mu o wszystkiem, co zajdzie, donosili. A w duszy rozmyślał: jako nie napróżno rudy wróg opuścił dawne siedlisko swoje i pociągnął dalej.

Lecz gdzie? Dokąd się schronił?

Zwierzał się też ze swych myśli głębokich przed wiernym Bolkiem, ulubieńcem swoim Wdałym, oraz przed innymi przedniejszymi z drużyny. Naradzał się z Radanem i czarodziejem Witem, których mądrość i doświadczenie cenić umiał.

— Dokąd się ci Rudzi przenieśli? — pytał.

— Wracają pewnie do starej ojczyzny swojej — rzekł Wdały.

Ale temu nikt nie dał wiary.

— Ojczyznę ich zajął ktoś inny, musieliby ją zdobywać... — mruknął Wit.

— Ja czuję burzę, która nastąpi po tej ciszy, jaka teraz na błoniach i w lasach drewnickich zaległa.

— I ja ją przeczuwam... — posępnie wyrzucił z siebie Bolko: — Musimy być gotowi na wszystko.

— Zwołać wiec! — podjął Wdały.

— Nie czas na wyprawy, kiedy spokój panuje, a po wrogach ślad zaginął — mruknął Mest. — Próżno ciszę zakłócać, a lud trwożyć pracujący.

I wszyscy zamilkli, przyznając słuszność zdaniu kneziowskiemu.

— Zgnietliśmy ich część nieznaczną, ale nie wszystkich. Nadciągną hordy nowe, na zwalczenie których sił przemocnych będzie potrzeba,

Posmutniały oblicza radzących, ale wnet Wdały krzyknął:

— Nie damy się!

A zawtórował mu Mojmir olbrzymi.

— Zgromimy ich i nową chwałą okryjemy drewnickie horodyszcze!

Kneź nic nie odrzekł, lecz w głębi duszy snuł wątek myśli, nieznanych nikomu.

Oto marzył o tem, że gdy się wieść o sławie i mądrości jego szeroko po kraju rozniesie, gdy dosięgnie tych nawet odległych grodów i siół, które dotychczas o Drewnicy nie słyszały — wtedy bliższe i dalsze opola same się doń zwrócą, by nimi rządził i na boje prowadził.

Rosła duma kneziowa, jak ziarno, w płodny grunt rzucone, i podniecała wyobraźnię do rojenia coraz większych i śmielszych planów.

Widział się już panem Białogrodu nadmorskiego, co to panował od wieków z możnymi kneziami

nu czele, nad ziemi urodzajnej płatem niezmiernym, nad ludem przemyślnym a dostatnim.

Przypomniał sobie, jak chłopięciem, a potem młodzianem będąc, wraz z rodzicem swym czas dłuższy w grodzie tym spędził.

I miał do tej pory w pamięci postać ojca dzisiejszego pana białogrodzkiego, siedzącego na tronie złoconym, w szatach tak bogatych, iż blask bił od nich, Wyglądał też rodzic jego przy tym wspaniałym kneziu w swoim kubraku skórzanym, w łapciach lipowych na nogach, jak prosty kmieć, a nie pan drewnicki.

I po raz pierwszy wtedy zazdrość nim targnęła okrutna.

Ojciec jego przybył z nim na białogrodzkie horodyszcze, albowiem pragnął się połączyć z potężnym kneziem związkami pokrewieństwa. Prosił dlań o jedną z córek za żonę.

Białogrodzki kneź najpierw pokazał im gród ludny, do którego przypływały codzień okręty z krajów nadmorskich, przywożąc towary cenne. Białogrodzianie kupowali towary, dając cudzoziemcom wzamian futra kosztowne, wosk i nadewszystko poszukiwaną

przez nich ambrę; żyli tym trybem w dostatkach i zbytku, nieznanym dla innych.

Potem on możny i pyszny pan przywiódł ich do izb swoich i w oczy zaświecił bogactwy bez liku. Mest do tej pory nie mógł zapomnieć owych cudnych rzeczy, w skarbcu białogrodzkiego pana złożonych.

Więc ojciec jego wyraził swą prośbę, mówiąc:

— Daj, kneziu, Mestowi Świetlaną za żonę; on młody i dzielny, on ją sobie upodobał, będzie jej dobrze u nas w Drewnicy.

Usłyszawszy to, białogrodzki pan wcisnął dłoń za swój pas złocisty, a rozparłszy się na krześle bogatem, ponad którem zwieszała się opona, z jednego kawała purpury uszyta, przemówił zwolna:

— Widziałeś, drewnicki panie, bogactwa moje niezliczone; przyglądałeś się onym wielkim łodziom, co w białogrodzkiej zatoce gościny u nas szukają, zaopatrując mnie we wszystko, o czem w twojej Drewnicy nikt nawet nie słyszał. Nie tajną ci jest siła drużyny mojej: jej miecze i oszczepy nie tylko ludzkie ciało, lecz nawet skały rozcinać mogą. Wiesz, żem potężny...

— Zacną jest twoja drużyna, kneziu, — odezwał się na to ojciec Mesta — wielkie twoje bogactwa, ale i moim witeziom nie brak mocy. Drewnica silna siłą ich ramion; palicami dębowemi, krzemieniem prostym nabijanemi, potrafią oni wyszczerbić zamorski miecz i ostrze cudzoziemskiego oszczepu złamać.

Białogrodzki pan zaczął się śmiać na tę mowę sąsiada swego, wreszcie rzekł, ważąc każde słowo swoje:

— Niech Drewnica uzna nad sobą panowanie moje, natenczas wyprawię tam Świetlanę, by razem z twoim Mestem osiadła w dziedzictwie ojca swego: bo naszemi są te opola, które wzdłuż rzeki Białej się rozsiadły. Pradziad twój opanował wzgórze drewnickie i na niem horodyszcze postawił, nie chcąc mnie uznać za swego pana.

Na to Mestów ojciec zmarszczył brew groźnie, a wyciągnąwszy rękę ku pysznemu kneziowi, zawołał:

— Nigdy Drewnica twojem dziedzictwem się nie stanie! Jam się nauczył rozkazywać: trudno mi na starość przyuczać się ciebie słuchać i w drużynie twojej wraz z synem jedynym służbę tobie nieść! Nie chcesz oddać Świetlany — wola twoja, ale powiadam ci, żałować tego poczniesz...

I wraz odjechali.

Mest pamiętał każde słowo tej rozmowy, choć młodzieńcem był wówczas, i odtąd nie przestawał rozmyślać nad tem, jak białogrodzkim dziedzicom siłę swoją dać poznać, jak ukarać ich pychę niezmierną.

Już potem białego grodu nie widział więcej. Ojciec mu umarł, wkrótce też przyniesiono wiadomość o śmierci owego dumnego pana Białogrodu; o Świetlanie zapomniał, wziąwszy za żonę kmieciównę hożą, która go obdarzyła kilkorgiem dzieci. Wreszcie i ona zamknęła na zawsze powieki, ile że ją słabość jakowaś przedwcześnie zmogła. Został sam na horodyszczu, uleciało odeń wesele wszelkie; uciechy szukał w bojach krwawych z Rudymi i w łowach, trwających niekiedy dni długie. Ale o zniewadze uczynionej ongi rodzicowi swemu przez starego knezia z Białogrodu, nigdy nie zapomniał. Myśl o zemście nie opuszczała go ani na chwilę — myśl o tem, że on powinien sam zasiąść na onym stolcu złocistym i zarzucić na siebie purpurę zamorską — chodziła za nim w ślad, jak cień, którego się człek śmiertelny pozbyć nie jest w stanie.

Ale to było marzenie. — Białogród rósł w bo-

gactwa; rozchodziła się szeroko sława o tem mieście wspaniałem po opolach, a kontyna z Światowidowem obliczem w gaju świętym nad brzegiem morza położonym, budziła podziw tych, co ją widzieli.

Nigdzie święto Kupały i Kolady z taką uroczystością obchodzone nie było, jak w Białym grodzie; ściągał też on gród kilka razy do roku ludu mnóstwo, roznoszącego po świecie chwałę białogrodzkiego pana.

A był nim teraz człek słaby, jak mówiono; zwano go Świętopełkiem. Szkodził mu żywszy powiew wiatru, więc siedział pono w bogactwami natłoczonych izbach swoich, grzejąc się przy ogniskach latem nawet płonących w otoczeniu wieszczków i gęślarzy. Mało kto go widział, albowiem nierad się pokazywał.

Więc Mest myślał:

— Jakto, ten człek niepozorny, bo takim mu go przedstawiono, nie będący w stanie podnieść w górę oszczepu ojcowskiego, ma być dziedzicem potężnego grodu, a ja, czujący siłę swą, mamże wiecznie drewnickiego stołbu pilnować?

Więc zmagał się w sobie i w duszy układał plan zdobycia Świętopełkowego dziedzictwa, by przysporzyć chwały plemieniu swemu.

Po zwycięztwie nad groźnym, a nieznanym sobie bliżej wrogiem, utracił spokój zupełnie. Wrzał gorącą żądzą czynów coraz to większych i rad widział oznaki uwielbienia, które mu ukazywała drużyna.

Witezie wołali nieraz:

— Prowadź, kneziu miłościwy, prowadź nas na krańce świata; pójdziemy wszędy za tobą, pewni zwycięztwa nad wrogami!

I gotów już był wydać rozkaz ruszenia na Białygród, ale hamował go w tem Wit, czarodziej i wieszcz, mówiąc: że czas na to jeszcze nie nadszedł, że wola bogów czarnych nie teraz jeszcze ma zostać wypełnioną.

Więc czekał i tymczasem drużynę do wyprawy sposobił, a nocami naradzał się z Witem, przed nim jednym serce swoje odkrywając.

Nastąpiła atoli owa upragniona przez Mesta chwila. Czas pokoju się skończył.

Jakoż w połowie lata zaczęły znowu do Drewnicy nadchodzić wieści groźne.

Wkrótce za niemi przychodziły do opola gromady ludu ze stron dalekich, opowiadając o tem, jak stra-

szny wróg, niszcząc wszystko, co mu stoi na drodze, niby burza ciągnie ku północy.

Kneź słuchał uważnie tych wieści, lud bezbronny osadzał w swych włościach, wybierając zeń co było mocniejszego do swojej drużyny, i żył myślą o wielkiej wyprawie orężnej.

Aż oto pewnego dnia przyprowadzono mu na horodyszcze kilku poważnych mężów mocno podróżą zmęczonych.

— Wy skąd przybywacie? — zapytał.

— Ze świętego grodu Białego — odrzekli owi mężowie.

W drewnickim dziedzicu zakotłowało się zaraz od wielkiego wzruszenia, zwłaszcza, gdy mężowie oświadczyli, że w poselstwie od knezia Świętopełka przychodzą.

Rozłożyli też przed nim dary, które byli przynieśli ze sobą: drogocennej purpury postaw spory, mieczy kunsztownych kilkoro, oraz wiele innych rzeczy cennych.

Mest powiódł dumnym wzrokiem po tych darach białogrodzkich, a wziąwszy miecz jeden, złamał go na dwoje, mówiąc:

— Takaż to siła tego oręża? Nie trzeba mi go. Zaczem spytał znowu:

— A czegóż odemnie kneź Światopełk żąda?

Natenczas mężowie, spojrzawszy na dumne oblicze drewnickiego pana i na jego dzielnych witeziów. którzy się przy nim skupili, strwożyli się wielce, myśląc, jako nie łatwą to sprawę z tym siłaczem, co zamorskie miecze w palcach kruszy, mieć będą...

Więc milczeli, aż póki ich znowu nie zapytał kneź, z czem przybyli w poselstwie.

— Panie i knieziu—odezwał się najstarszy z nich— oto ciągną na gród nasz święty, z którego Światowidowe oczy na cały świat spoglądają, nieprzyjaciół liczne zastępy. Jako własność swoją, zabierają wszystko, a czego nie mogą zabrać, to palą i niszczą.

Zowią się Manami i Gotami, a dowodzi nimi pogromca ludów, który Almana imię nosi.

— Wiem o tem — przerwał Mest.

— Znamy ich już! — krzyknęła drużyna.

— Siła kości na drewnickich opolach złożyli; moc ich do tej pory jęczy w naszych izbach stołbowych.

— Doszły i nas wiadomości o zwycięztwie, jakie

drewniccy witezie odnieśli nad onym strasznym wrogiem. Imię knezia Mesta już wielokrotnie się odbiło o uszy nasze, imię potężne i sławne — ciągnął dalej poseł.

A Mest wsparł się na swym stolcu dębowym i z rozkoszą słuchał onych słów, dumę jego łechcących.

Wreszcie, uśmiechając się złośliwie, rzekł:

— Wśród nędznych opolów stoi nasza Drewnica; w skarbowych izbach horodyszcza niema takich bogactw niezliczonych, jakie podobno leżą w komnatach knezia Światopełka. Nasz lud ubogi, nie równać mu się w dostatkach z ludem białogrodzkim, któremu kupczący cudzoziemiec z zamorskich krain cennych towarów bez liku przywozi. Nie posiada też drużyna drewnicka ni oszczepów o drzewcach złoconych, ni mieczy, kunsztownie kowanych; broń nasza — łuk prosty i palica drewniana, krzemieniem twardym nabijana. Myśleliśmy, że oto wy nam z pomocą czasu najazdu przybędziecie, iżby nas obronić od pohańbienia... Nie przyszliście, znaku o sobie nie daliście, chociaż to jedna mowa i obyczaj jeden od niepamiętnych czasów nas łączy. Zmogliśmy wroga sami, a zmogliśmy go na-

szemi prostemi oszczepami i zwykłemi palicami. Brońcie się sami, tak, jak my to uczyniliśmy.

Zatrzymał się, a posłowie wraz z tymi, co radę kneziowską stanowili, pojęli, jako Mest jedno sobie dworował. Więc on najstarszy z przybyłych, pochylalając się przed kneziem, jął znowu mówić:

— Knezia słabego mamy. Rodzic jego, gdyby żył, możeby gród Biały zratować potrafił, ile że znaną nam była mądrość i siła jego. Wysłaliśmy przeciw Gotom drużynę, ale nie było komu jej przewodzić, więc częścią legła na pobojowisku, a częścią zbiegła do grodu w przerażeniu wielkiem. Wódz nieprzyjaciół sroży się i dalej opola i sioła nam pali i niszczy; przysłał też Świętopełkowi poselstwo, które wymagało odeń, żeby ze stolca kneziowskiego ustąpił, a gród dobrowolnie wydał. Posłów odprawiliśmy z niczem, licząc na skuteczną pomoc twoją, drewnicki panie! Skoro ty nas opuścisz, padnie gród święty, Many i Gorowie srodzy gaj Światowidowy wytną, ogień wieczny zagaszą i pohańbią. Nie oddaj nas pohańbieniu!...

Tak zakończył z żałością wielką w głosie najstarszy Świętopełkowy wysłaniec.

A inni za nim powtórzyli to samo.

I jęknęło w powietrzu wołanie głośne Białogrodzian:

— Ratuj nas, potężny kneziu!

— Ratuj nas, drewnicki panie!

— Mocniejsi są widać twoi witezie, uzbrojeni w proste palice i oszczepy, od naszych wojowników, noszących miecze kunsztowne, zamorskiego wyrobu — mówili jeden przez drugiego.

A Mest w milczeniu snuł wątek swoich myśli, pełen upojenia na widok upokorzonych wysłańców Świętopełkowych.

Białogród, ten wielki, potężny, bogaty i święty Białogród, u nóg mu leżał w osobie tych posłów i żebrał pokornie jego pomocy!

Wtem rozległy się głosy z jego własnej drużyny.

— Ratuj ich, panie i prowadź nas na wroga! Ocalimy gród święty!

Mest powstał z siedzenia swego i rzekł, zwracając się ku starcom Białogrodzkim:

— Idźcie w pokoju i dobrej myśli do izb, które wam wskażą; pokrzepcie jadłem i napojem zmożone członki wasze. Kto do nas przybywa, przyjaciel lub

wróg, gościnność od nas mu się należy. Niemocen jestem bez zgody wszystkich wyruszyć Białogrodowi na pomoc; znam siłę wroga i wiem, jaką moc ludu zebrać trzeba, żeby się z nim zmierzyć. Zawołam wam was i powiem, czy wyruszymy ku wam z ocaleniem, czy też pozostawimy was własnej doli. Spokojni jesteśmy tu w Drewnicy, wroga się obawiać nie potrzebujemy, albowiem już był poznał, jaka go za napaść kara czeka.

Posłowie, pokłoniwszy się, odeszli, a Mest natychmiast rozkazał sprowadzić na horodyszcze starego Radana, z którym postanowił całą sprawę, jak należy, omówić.

Przywlókł się Radan razem z kilku starszymi, albowiem już go wieść doszła, o jakich to rzeczach z kneziem rozmawiać będzie.

Kneź wyłuszczył im wszystko i zapytał, co o tem sądzą.

Radan pomyślał i rzekł:

— Wiec zwołać trzeba!

A inni potwierdzili to samo.

Jakoż, gdy słońce zaszło, usiadł kneź, wedle obyczaju dawnego, pod bardzo dawne czasy pamiętającym

dębem a wokoło niego skupiła się drużyna i starcy. Dalej usiadły gromady ludu męzkiego ze wszystkich opolów. Rozpalono ogniska, ile że noc była ciemna. i z cicha gwarzono między sobą.

Kneź wstał i rzekł, a głos mu nieco drżał ze wzruszenia.

— Zgromadziłem was, mężowie drewniccy, i was, cni witezie moi, byście wspólnie radzili nad tem: czy, pozostać nam spokojnie w chatach i bez trwogi przysłuchiwać się odgłosom szalejącej u ścian białego grodu zawieruchy wojennej, czy też wyruszyć onemu grodowi z pomocą?

Zaległo milczenie. Każdy z obecnych pytał się siebie samego, coby na te słowa kneziowskie powiedzieć trzeba. Potem rozszedł się pomruk, podobny do zbiegających ze stromych gór nurtów rzecznych i zmieszał się z szumem drzew starych, wkoło wiecowego pola rosnących. Wiatr dął od zachodu i napędzał thmury ciemne na szafirową oponę podniebną. Przecaczały się te groźne chmury i raz po raz wysłaniały bladozłociste oblicze pełnego miesiąca.

Nieopodal toczyła się rzeka Biała, a toczyła się, jak sen, wśród pól i łąk, ciemnością nocną otulonych

Zbierał się nad nią tuman lotny i rozsnuwał powoli.

Podniósł się teraz stary Radan, tuż obok knezia z urzędu starszeństwa miejsce zajmujący, i jął pierwszy przemawiać:

— Groźna się burza zerwała, burza ludzka, i nadciąga ku grodowi Białemu, przy którym to nasza ojczysta rzeka wody swe w morzu pogrąża. Wróg straszny, który już siła naszych trupem położył, a którego zwalczyć z woli bogów zdołaliśmy, zdobywszy Świętopełkowe dziedzictwo, zemstą pałając, pociągnie ku nam.

A my, czy wówczas damy mu radę? Ich będzie siła, a nas garstka. Przeto wydaje mi się, żeby mu drogę, póki czas, zastąpić, a pobiwszy, na wieczne czasy w bezpieczeństwie odpoczywać. Ocalając Białogród, ocalamy zarazem i siebie.

Radan miał posłuch w drewnickiej gromadzie; wierzono jego słowom mądrym, więc wnet rozległy się liczne wołania:

— Chodźmy na wroga!

— Niech Mest prowadzi drużynę!...

— Pobijemy i gród Światowidowy od pohańbienia ocalimy!

Ale wnet podniósł się mąż już dobrze w lata posunięty, Leszczycem zwany, i jął gromadnie przekładać: jako lepiej jeszcze raz bogom za odniesione zwycięztwo podziękować, a wroga nie zaczepiać.

— On nas zostawi w spokoju, poznawszy moc drewnickich witeziów, niech więc czyni sobie z innymi, co mu się podoba. Wszak wrogim nam był zawsze Białogród, a jego kneziowie nieraz drewnickie sioła do dziedzictwa swego przyłączyć się kusili. A Białogrodzianie, ufni w swe siły i miecze zamorskie, wiele nieprawości opolom sąsiednim wyrządzili.

Leszczyc skończył i powiódł złemi oczyma po wiecowem zgromadzeniu.

Wnet ozwały się głosy, trzymające jego stronę.

— Niech przepadnie to kupczące gniazdo rozbójników!

— Nam nic do nich!

— Niech Białogród spotka pohańbienie!

Wszczął się zamęt ogólny w mowie; jedni wołali.

— Radana posłuchajmy!

— Leszczyc stary też dobre słowo wyrzekł: za nim idźmy! — krzyczeli inni.

A Mest podczas całego tego rozgardjaszu głaskał spokojnie swoje dwa przyswojone wilki i najgłębsze zachowywał milczenie. Na pięknem, męzkiem obliczu jego, rozsiadła się wielka powaga, kryjąca myśl głęboką. On w głowie rozważał, co czynić wypadnie — i na koniec słowa swoje mądre zostawił.

Gromada zaś wiecowała, swarząc się coraz zazawzięciej. Ci, co podzielali słowa Radana, skupiali się wokoło niego, coraz ciaśniejszem opasując go kołem; Leszczycowi również tłumnie oblegli swojego wodza.

Wtem z pomiędzy owych Leszczycowych wyskoczył człowiek przechodzący wzrostem swoim olbrzymim wszystkich obecnych, i ryknął:

— Uciszcie się, mężowie drewniccy!

Tłum przycichł.

Ktoś zawołał:

— Lutek przemawiać będzie!

A Lutek, zwany w Drewnicy Niedźwiedziem, podszedł ku kneziowi i rzekł:

— Zamiast się smucić, że pobratymcy owych

przybłędów Rudych, jakowiś Manowie i Gotowie, idą na Białogrodzian, cieszyć się raczej powinniśmy. Cóż nam do nich? Przywodzić nam chcieli, panować nad nami pragnęli, w zależności niemal poddańczej względem nich jesteśmy; ziarno i miody, skóry i futra, za odrobinę dobra zamorskiego musieliśmy im oddawać; postępowali z nami, jak z podbitymi — niechże teraz giną!

Ci i owi z Radanowej gromady zaczęli się chyłkiem przemykać ku Leszczycowym stronnikom, którzy radzi słuchali, co Lutek Niedźwiedź rozpowiada.

A ten, podnosząc palicę potężną do góry, groźnie nią potrząsał, mówiąc dalej:

— Niechaj giną Białogrodzianie wraz ze swym niewieście podobnym kneziem!

— Niech giną! — wołali Leszczycowi, podczas gdy ci, co z Radanem trzymali, jeno szmerem głuchym niezadowolenie z mowy Lutka zdradzali.

— Namby się połączyć z onymi strasznymi wojownikami, z południa przybyłymi, należało, jako że wróg dla wspólnej korzyści często lepszym od serdecznego druha stać się może.

Przeto myślę, iż dobrzeby więc uczynił, gdyby

do Manów i Gotów poselstwo wyprawił i przyobiecał im posiłki, z których pomocą łacniejby Białogrodu dumę zetrzeć mogli.

Wówczas dobro wszelakie nagromadzone w tym grodzie nadmorskim, bogactwa niezliczone, zalegające w tamecznem horodyszczu, w znacznej części i namby się w dziale łupów dostały.

— Lutek dobrze mowi! —ozwały się tu i ówdzie głosy ludzkie.

— Lepiej widzieć wroga w Białogrodzie, wroga otwartego, aniżeli swojego, co jako wróg postępuje z nami. Nam ono miasto niepotrzebne — ukryci w Drewnicy, wieki tu w ciszy i spokoju trwać możemy.

Lutek skończył i odszedł ku swoim.

Znowu zaczęły się gawędy, półgłosem prowadzone; czasami zrywały się okrzyki i milkły w gwarze ogólnym.

Mest tymczasem głaskał wilczki oswojone, cichą rozmowę bez przestanku z czarodziejem Witem prowadząc. Radan uspakajał Świętopełkowych wysłańców i trwożnie na kupiący się koło Leszczyca i Lutka lud spoglądał. Widział teraz wyraźnie, jako liczba

jego stronników zmniejszała się stopniowo; oczywistem przeto było, iż wiec nie łatwo przychyli się do udzielenia pomocy Białogrodowi.

Zamęt wzrastał w wiecującem kole; Leszczycowi brali górę, coraz to nowych stronników przyciągając do siebie.

Tych, co się z nimi łączyć nie chcieli, obrzucali wymysłami obelżywemi.

Niektórzy gwałtowniejsi, nie mogąc znieść cierpliwie obelg, już się gotowali do odparcia czynnego napaści słownej. Zanosiło się na bójkę powszechną, bo już tu i ówdzie chwytano się na bary; wiec gotów był zamienić się na walkę bratobójczą, zwłaszcza, gdy drużyna kneziowska, do tej pory spokojnie za swym panem siedząca, do oręża porywać się zaczęła i pokrzykiwać.

Wtem Mest powstał i zawołał:

— Żali to witeziów dzielnych sprawa obrad czas wiecowych broni dobywać i do poswarów domowych krwi rozlew wnosić?

Słysząc te słowa, drużyna, rozmiłowana w swym panu, wnet oręż ukryła i tłumnie się za nim ustawiać poczęła.

— Kneź mówi, słuchajmy! — wołano w dalszych szeregach wiecującego koła.

— Nie kneziowi nam rozkazywać, nie po to przyszliśmy tu, nie po to posadziliśmy go na stołbowej ławie, by wolność naszą krępował, nie sługami jego jesteśmy!

Takie okrzyki podnoszono z grona Leszczycowych.

— Równym nam on jest czasu rozpraw wiecowych!

— Sami o sobie stanowimy!

Naraz zerwał się Wit czarodziej, i stanąwszy na ogromnym głazie, co odwiecznego dębu wzrost pamiętał, krzyknął:

— Przekleństwo na was rzucę, gdy poswar między wami trwać będzie! Oto zachmurzyło się oblicze pana nocy, co światło swe blade ponad przepaściami przerzuca, a w tajniki serca ludzkiego zagląda. Gniewa się bóg czarny i mówić wnet pocznie!

Zaległa cisza, bo wszyscy przekleństwa Witowego się obawiali.

Zapanowało milczenie groźne.

Wiatr się podniósł gwałtowny i miotać płomie-

niami ognisk począł. W oddali zahuczał grom i zdawał się bić w obwisłe ciemne chmury, które przesłaniały miesiąc w pełni.

— Czarny bóg gadać pocznie! — wołał Wit.

I wraz krwawy gzygzak przeciął podniebie. Padł grom w knieje, a za nim potoczył się drugi.

A czarodziej wzniósł obie ręce do góry i zdawał się ze swym bogiem w niemej wymianie myśli łączyć. Potem rzekł znowu, dobywając z piersi głosu tak silnego, żeby go wszyscy usłyszeć mogli:

— Spokój wasz, mężowie drewniccy, tylko chwilę trwać będzie, bo pęta wam nałoży wróg nieznany i straszny; spali on wprędce horodyszcze i sioło wasze, gdy gród piorunowy i święty na łasce losu zostawicie.

Białogrodizanie z nami postępowali źle, nadciągnęła też na ich miasto burza; złamaną już teraz została pycha tego ludu, co się był przed wiekami rozsiadł nad wybrzeżem morza Białego. Opuścić ich w niedoli — znaczy to opuścić siebie samych, bo wróg, zająwszy miasto Światowidowe, zajmie i drewnicki gród i pohańbi mieszkańców jego.

Wiec jest wyższym nad knezia, bo bywały wiece, gdy jeszcze kneziów nie było, ale jak nie mogą wszyscy w boju dowodzić a w sądzie sądzić, tak też nie może być tylu knieziów, ilu jest kmieciów. Jedna głowa w rządzie i w sądzie, jedna na polu walki orężnej być winna.

Tak jest i być musi, bo tak, a nie inaczej, obyczaj przodków nakazuje. Mestów dziad obronił Drewnicę, gdy na opola sąsiednie napadli Rudzi; ojciec jego walczył też z nimi i zwalczył niejednokrotnie, a on sam—zali się nie okrył chwałą zwycięztwa? Zali nie pokazał mądrości w tym boju, zali mało doświadczyliście hojności i dobroci jego. Kto przeto śmie przeciw niemu, którego bogi wszystkie szczególną miłością otaczają, wystąpić ze słowem hańbiącem? kto?

Wiecujący tłum drewnickiego ludu milczał, gdyby zastygła na roztoczy morskiej fala potężna.

— Więc miasto się swarzyć i w onym swarze trwać, czy nie lepiej posłuchać: co on kneż, mądry i sprawiedliwy, poradzić nam tu wszystkim na wiec zebranym, zechce? Jego słowo tyle już razy na dobre nam wyszło i ocalenie przyniosło, więc i teraz bez skutku nie przeminie.

Wit skończył, a z tłumu rozległy się wołania:

— Niech kneź mówi; uczynimy, jako on nam poradzi!

Więc znów się podniósł Mest, i wszedłszy na głaz, jął głosem silnym tak swą rzecz wyprowadzać:

— Uznaję słuszność słów Leszczycowych i Lutkowych, albowiem nieraz Białogrodzcy kneziowie nie lepiej od wrogów z nami postępowali. Upokorzony został rodzic mój przez Świętopełkowego ojca — o tem wszak wszyscy wiedzą; zniewagę poniosłem ja sam w zaraniu lat młodych, co także wszystkim wiadomo— zemstą więc powinienem odpłacić za uczynione mnie i drewnickiej gromadzie wstręty...

Tu kneź zatrzymał się w mowie, a tłum wołał:

— Niech pohańbienie spadnie na domowe Białogrodzian ogniska!

— A jednak rozważywszy rzecz głęboko, powiem: że nie pora teraz na czynienie zemsty, gdy wspólny Drewniczan i Białogrodzian wróg na nas następuje! Teraz trzeba myśleć o obronie. Odparliśmy garść tylko nieprzyjaciół, ale nie starliśmy ich wszystkich. Pamiętają oni klęskę, poniesioną na polanie

mirowskiej, zdobywszy więc gród Biały, na naszą Drewnicę z zemstą tłumnie ruszą. Przeto myślę i tę myśl swoją wiecowemu kołu podaję, że sami powinniśmy u Białogrodzkich ścian onych Manów i Gotów poszukać i tam z nimi w krwawej walce się rozprawić...

Skoro kneź skończył, otoczyła go natychmiast drużyna, krzycząc rozgłośnie:

— Prowadź nas, kneziu; odpędzimy nieprzyjaciół od Białogrodu, ocalimy Światowidowy gród święty.

— Nie oddamy na pohańbienie ognia, od wieków już w Białogrodzie płonącego!...

— Ocalimy Świętopełkowe dziedzictwo!

Zaczem gromada cała, cały ogół wiecujących, toż samo powtarzać począł, wnosząc jednocześnie na chwałę kneziowską okrzyki.

Leszczycowi zamilkli, pomrukując ponuro, a wtórowali im ci, co gromadką nieliczną olbrzymiego Lutka byli dokoła oblegli.

Grom się przetoczył u góry, wlokąc za sobą chmury czarne, obwisłe. Wiatr przestał szumieć. Na ciemno—szafirowej oponie firmamentu zamigotały roje

gwiazd, wśród których królował bladolicy miesiąc w pełni.

Natenczas kneź rozkazał podsycić ogniska i przynieść z horodyszcza jadło i napój miodowy.

Gromady rzuciły się do mięsiwa i do miodu.

Rozpoczęła się biesiada głośna, w której wzięli również udział i Białogrodzianie, uradowani, iż poselstwo ich nie pozostało bez skutku.

— Niech żyje Mest, drewnicki dziedzic! — słychać było naokół.

— Niech nas prowadzi ku Białogrodowi!

— Ocalimy gród nasz swięty, Biały, i wałem z trupów wrażych go otoczymy!...

— Nie przepadnie, nie będzie pohańbiona stolica Światowidowa! Zazieleni się gaj święty, a ognisko bogów nowym płomieniem zapłonie!

Przyszli gęślarze i poczęli przy brzęku strun głosić sławę Drewnicy i jej knezia; wspominali też w śpiewie długim podania o grodzie białym, który przed wiekami na morskiem wybrzeżu na chwałę całego plemienia był wykwitł.

Ucztowało wiecowe koło, jedną myślą ożywione;

ucztowało w zgodzie przykładnej, rodzinną zgodę przypominającej.

Rozprawiali mężowie doletni o wyprawie, ciesząc się z ochoczości bojowej witeziów, należących do drużyny kneziowskiej. Weselnym okrzykiem witano grozę zbliżającej się walki.

V.

Rozpacz i wściekłość naprzemian miotały duszą Agatona, gdy się poczuł w więzach. Chciał urządzić zasadzkę na wrogów, by ich wszystkich napędzić pod oszczepy i palice następujących szeregów Mesta, gdy tymczasem zasadzka się nie udała, a on sam dostał się w ręce nieprzyjacielskie.

Gdyby był przynajmniej legł na polu walki, jak na wojownika dumnego przystało, ale nie — został haniebnie porwany!

Błagał więc bogów olimpijskich, by mu coprędzej śmierć zesłali, ale bogowie byli obojętni na niedolę jego. Pragnął rozsrożyć na siebie katów, więc się rzucił na ziemię, sądząc, iż zostanie zabity. Ale nie, podniesiono go i na powrozie wleczono dalej w głąb

boru. Musiał więc biedz, gdyż padały nań razy bolesne, których mu nie szczędzili barbarzyńcy.

Nad wieczorem zatrzymała się ona gromadka, z kilkudziesięciu ludzi złożona, dla odpoczynku.

Agaton sądził, że nastąpi zaraz czas jego kaźni, i gotował się do jej przyjęcia, tymczasem spotkał go nowy zawód.

Siedział w opuszczeniu strasznem i czekał na śmierć. Ale nie myślano widocznie pozbawiać go życia, owszem, jeden z wojowników podał mu nieco wody, a inny obdarzył kawałkiem łosiowej pieczeni.

Grek wodę wypił, mięso zjadł, i poczuł się lepiej. Położył się wygodnie na trawie i rozmyślał nad tem, czego się może od losu spodziewać.

Wtem jeden z wojowników zbliżył się doń i, kopnąwszy go nogą, krzyknął mu coś złowrogo nad uchem.

Grek podniósł się z trudem i cisnął w twarz mówiącemu przekleństwo helleńskie.

Ale wróg nie zrozumiał, więc tylko odmruknął groźnie. Potem zaczął coś mówić, pytał się o coś widocznie, ale Agaton nic z jego mowy wyrozumieć nie był w stanie, więc rzekł po swojemu: jako nie

wie, o co idzie; toż samo powtórzył językiem fenickim, ale również nikt nie pojął jego wyrazów, wreszcie użył mowy ludu drewnickiego—wszystko pozostało bez skutku. Widocznem było, iż ci, co go pojmali, nie byli w możności dojść z nim do porozumienia.

Ruszali więc wzgardliwie ramionami, z wściekłością nań spoglądając. Jeden z nich plunął mu prosto w twarz, a inni poszli za jego przykładem.

Takie postępowanie doprowadziło Greka do wściekłości; zerwał się na równe nogi i począł na cały głos wymyślać na tę dziką tłuszczę. Próbował potargać więzy i rzucić się z pięściami na prześladowców, którzy w nim wolność helleńską pohańbili, ale napróżno.

Wojownicy śmiali się, widząc jego niemoc wreszcie powalili go znowu na ziemię.

Agaton zrozumiał, że nic nie poradzi, więc przestał się szamotać; zresztą, czuł się tak zmęczonym, że nawet myśleć porządnie nie był w stanie.

Niebawem ogień zagaszono, i w tem przygodnem obozowisku zaległa cisza. Kilku wojowników pozostało na straży, nie spuszczając wzroku ze swego jeńca, a reszta spała.

Nazajutrz, o świcie, ruszono w dalszą drogę, cią-

gle pomykając dla bezpieczeństwa gęstym borem. Tak zeszedł dzień drugi, potem trzeci, aż wreszcie czwartego dnia, w samo południe, dotarli do ogromnej polany, na której Agaton zobaczył tłum zbrojnego ludu.

— Teraz nastąpi ze mną jakieś rozwiązanie — pomyślał sobie.

Jakoż ci, co go pojmali, udali się razem z nim do rozbitego pośrodku polany namiotu z niewyprawionych skór zwierzęcych.

Z namiotu wyszedł mąż olbrzymi z brodą, i począł z przybyłymi rozmawiać — widocznie ich pytał o los wyprawy na Drewnicę.

Słuchał uważnie, a gdy skończyli, kazał im odejść, mruknąwszy coś na pożegnanie ponurym głosem. Zaczem skinął na kilku zbrojnych i rozkazał zdjąć z rąk Grekowi pęta.

Agaton wyprostował członki po raz pierwszy od tylu dni i stał przed onym mężem, który go badawczo oglądał ze wszystkich stron; wreszcie zwrócił się doń z jakimś pytaniem, ale Grek po swojemu powiedział, że nie rozumie.

Wówczas kazał go odprowadzić między wozy, na

których siedziała niewiast gromada; tu dano mu jeść i pić.

Obóz był ogromny. Cały lud jakiś nieznany znajdował się w pochodzie. Roiło się od tego mrowia wojowników, którzy groźnie szczękali orężem. Wszyscy mieli oblicza surowe i dzikie; rozmawiali głośno i hałaśliwie. Okryci skórami łosiowemi i niedźwiedziemi, wyglądali raczej, jak duchy złe, w lasach mieszkające, aniżeli zwykli ludzie.

Kobiety ich siedziały przy rozpalonych ogniskach i warzyły jadło; dzieci biegały po obozowisku, krzycząc i hałasując zawzięcie.

Agaton zauważył, że z głębi puszczy nadciągały coraz to świeże gromady wojowników, przybywały też nowe wozy dobytkiem wszelakim zapchane, wraz z niewiastami i dziećmi.

Następnego dnia przyprowadzono go znowu do tego samego męża, który zdawał się być wodzem owych tysięcy ludu, koczujących w głębi puszczy.

— Kto jesteś? — odezwał się doń ktoś, stojący tuż obok wodza.

Grek spojrzał na mówiącego językiem drewnickich witeziów, i odrazu uczyniło mu się jaśniej

w umyśle. Widział, iż go zaczynają badać przez kogoś, co umiał się z nim rozmówić, więc rad był temu, albowiem badanie owo postanowił wyzskać na korzyść swoją.

Już miał gotowy w głowie plan ocalenia. Odrzekł przeto również zapytaniem:

— A powiedzcie mi pierwej, przed kim stoję i komu mam odpowiadać?

Na to ten, co go był spytał, rzekł:

— Ja jestem tłumaczem myśli potężnego Tota, wodza sławnego ludu Gotów, którego masz przed sobą...

Agaton skłonił głowę przed Totem a przybrawszy dumną postawę, jął opowiadać: jak los go wypędził z cudnych krain Hellady w te puszcze dzikie, jak się dostał w ręce drewnickiego pana razem z towarzyszem, jak musiał tam w srogiej niewoli żywot nędzny pędzić.

Tłumacz to wszystko przełożył Totowi, który się zdumiał wielce, albowiem sądził, że mu zbiegowie z pola klęski witezia drewnickiego przywiedli. Grek zaś tak dalej prowadził:

— Zmuszono mnie do chwycenia oręża przeciwko

tobie, królu i panie! Nie znałem cię, więc walczyłem przeciwko tobie za swych okrutnych ciemiężycieli; bo straszny jest on kneź drewnicki, który tylu niezrównanych witeziów na polu walki położył. Udała mu się zasadzka haniebna. O, w otwartej, szczerej walce nigdyby szlachetnego ludu Gotów nie pokonał.

Ale stało się; nie minie, myślę sobie, kara, co spadnie nań z twej dłoni; walczyłem, bom musiał, bom nie wiedział, przeciwko komu występuję, teraz zaś wiem, com był uczynił. I żałuję...

Dzięki bogom mym ojczystym czynię, że mnie wyzwoliły cudownie z rąk onego ludu srogiego, którego obyczaje ohydne równych sobie na tym świecie nie mają. W tobie witam, wielki wodzu, zbawcę, i życie ci w ofierze złożyćbym pragnął. Niemądry, ani przypuszczałem, że ci, co mi ręce skrępowali, ocalenie dla mnie nieśli. Opierałem się im, bo niewoli w pętach nie znoszę; teraz dopiero widzę, jako trzeba było się poddać i oręż przeciwko drużynie obrócić Mestowej.

Agaton tak mówił, albowiem chodziło mu o to, by zaufanie Tota zyskać i środkiem ocalenia swego je uczynić. Przyszło mu też do głowy, że to łaskawe

bóstwa tak pokierowały, iżby się mógł za gościnność, doznaną w Drewnicy, jej kneziowi odwdzięczyć.

A tłumacz, wysłuchawszy jego mowy, przełożył ją odrazu Totowi, dodając, że jeniec znać nie należy do ludu nieprzyjacielskiego, albowiem osobliwie i dziwnie dźwięczą mu wyrazy.

Agaton czekał w niepokoju wielkim, co z nim uczynią.

Jakoż Tot zaczął się naradzać z tymi, co stali obok niego, i stopniowo nieufność znikała mu z oblicza; zatopił swe siwe, o stalowym odbłysku oczy, w błękitne źrenice Greka i kazał tłumaczowi dalej badanie prowadzić.

Więc Agaton opowiadał dalej o niezliczonych i bitnych drużynach drewnickiego księcia, o jego strasznej sile i dzikości, chcąc w ten sposób odstraszyć wodza Gotów od chęci najazdu na ten lud, który mu gościnność i przyjaźń okazał.

Gdy skończył, Tot kazał go odprowadzić do namiotu rozbitego nieopodal między szeregami wozów. Tu Agaton znalazł pęk skór miękkich, oraz jadło i napój, dość cierpki w smaku, choć podobny z pozoru do miodowego płynu.

A że już nadeszła noc, więc się rzucił na posłanie, dziękując bogom olimpijskim za to, że go pozostawili przy życiu. Nie był jeszcze pewien, jaki los go spotka, ale już nie wątpił w to, jako słowom jego zawierzono i jako śmierci okrutnej obawiać się nie potrzebował.

Wkrótce sen go zmorzył i zasnął, ale o północy zbudziły go okrzyki, rozlegające się naokoło namiotu. Nie wiedział, co to znaczy, bo nie mógł zrozumieć mowy, której używali wrogowie.

Podniósł się, przetarł oczy, i wyjrzał z za płachty, spadającej na wyjściu.

Niezliczona ilość ognisk gorzała naokoło. Podnosiły się groźne głosy, a głuszył je szczęk oręża.

Wtem gromada wojowników tłumnie ruszyła ku namiotowi, gdzie się znajdował Tot, prowadząc kilkoro jeńców spętanych, na których obliczach, blaskiem od ognisk płynącym rozjaśnionych, malowało się przerażenie. Niektórzy z nich jęczeli z bólu, bo byli ranni, inni znów ciskali przekleństwami na swych katów w mowie ludu drewnickiego.

— Tot!... Tot!... — wołano.

Na to gromkie wołanie ukazał się wódz, a z oczu

mu szły wściekłe iskry. Stanął przed orężną gromadą i jął coś mówić.

Gromada wyła, potrząsając oszczepami.

Tot machnął ręką, wówczas pochwycono jeńców, i popychając ich, wiedziono ku rozpalonym stosom.

Agaton struchlał; jakieś złe przeczucie wdarło mu się do serca; chciał iść za tłumem i już się nawet posunął kilka kroków, gdy wtem ktoś schwycił go za rękę, szepcząc:

— Nie chodź, bo zginiesz!...

Koło niego stał ten sam człowiek, co go wobec Tota był badał, przy nim zaś zauważył kilku wojowników.

Zatrzymał się i spytał:

— Co to za okrzyki i ci jeńcy co znaczą?

— Przywiodła ich drużyna nasza, nieprzyjacielską włość spaliwszy. Zostaną poświęceni bogom zemsty za tę klęskę, którą nasi od drewnickich witeziów ponieśli.

— Co?!...

— Spalą ich żywcem—spłoną na stosie. A i ciebie to samoby spotkało, gdyby nie Tot, który uwie-

rzywszy twym słowom, pragnie cię ocalić, zwłaszcza, że mu będziesz pewno potrzebny...

Naraz rozległ się w powietrzu przeraźliwy jęk, potem drugi, trzeci... to mordowano niewolników.

Ścięła się krew w żyłach Greka na ów odgłos męczeński, idący z oddali.

— Wracaj do namiotu, bo zoczywszy cię, wnet się o ciebie dopominać poczną.

Straszna jest moc Gotów, zemsta ich niezrównana Już po obozie szukano ciebie, ile że dowiedziano się, jakożeś z drewnickimi ludźmi razem walczył.

Agaton wrócił do namiotu i legł znowu na skórach, ale zasnąć nie mógł; w uszach mu dźwięczał jęk mordowanych.

A tam naokoło lud zbrojny szalał i wył, coraz to nowych szukając ofiar zemsty za poniesioną klęskę, o której dopiero teraz po całem obozowisku wiadomość obiegła.

Niewiasty i dzieci, zawodząc strasznie, z pochodniami w ręku snuły się pośród gromad wojowników; domagały się kaźni tych, co zostali pojmani.

Tamte ciała już spłonęły, ale widocznie za mało

ich było, by zadowolnić uczucie krwawej zemsty. Szukano więcej ofiar.

— Jeszcze jeden z wrogów żyw jest! — zawołał ktoś z tłumu. Przyprowadzono go do Tota! co się z nim stało? Dajcie go nam, niech z ręki ofiarnika padnie za krew pobitych braci naszych.

Agaton nie rozumiał tych słów, ale przeczuwał, że o niego chodzi.

Jakoż zaroiło się koło namiotu; powstało zamieszanie, ktoś zerwał płachtę i z łuczywem smolnem wpadł do wnętrza.

— To ten! — krzyczał człek z łuczywem, i wskazywał na Greka, który wnet się podniósł ze skór i przerażonym wzrokiem szukał broni jakowejś, chcąc drogo życie swe sprzedać.

Niestety, nie było niczego, coby jako narzędzie obrony służyć mogło!

— Dawajcie go tu!

I porwano Agatona na ręce, niosąc go w stronę ogromnego stosu, na którym dopalały się resztki ciał pomordowanych jeńców. Nieszczęśliwy widział krwią oblane noże, które wznosili do góry ludzie, wilczemi skórami okryci.

Byli to wieszczowie, kapłani tego srogiego plemienia.

Tłum coraz się stawał większy, tysiące głów z powichrzonym włosem chwiało się w błyskach płomieni ognistych. Wrzało i huczało naokół.

Naraz uczyniło się cicho... Zaległo nagłe milczenie, gdyż rozległ się głos straszny przejmujący.

To Tot wypadł z namiotu, dowiedziawszy się o tem, co się w obozowisku dzieje.

Agatona postawiono na ziemi. Tot zbliżył się doń i rękę mu na ramieniu położył; znaczyło to, że niewolnik od tej pory jego wyłączną własność stanowi.

Rozszedł się pomruk groźny.

— Oddaj go nam! to wróg nasz! — wołali ci, co stali dalej.

— On walczył przeciwko nam, on naszych mordował!

— Niech spłonie na stosie ofiarnym!

— Niech się zemsta nasza nasyci krwią jego!

— Kto śmie występować przeciwko mnie? — krzyknął Tot głosem strasznym.

Ci, co go otaczali, stali cicho, ale tam, z dalszych szeregów tłumu, ozwało się wołanie:

— Nie przeciw tobie występujemy, a przeciw wrogowi!

— Moim on teraz jest, położyłem dłoń na ramieniu jego. To nie wróg, to odmiennego plemienia człowiek, którego losy w te kraje przywiodły...

Tak mówił Tot, ale tłum dalszy wył wściekle:

— Krwi nam trzeba!

— Tot za wrogiem obstaje!

— Śmierć mu, pohańbienie!

Słysząc to, Tot ryknął:

— Kto śmie tak mówić, niech wystąpi przedemnie!

Ale nikt nie wystąpił, natomiast znów gwar nieco przycichł; słychać było jeno szmer, od ruchu tylu ciał stłoczonych pochodzący.

Tot znów krzyknął:

— Kto jest on śmiałek, co z tłumu na mnie szczeka? Rozstąpiła się gromada, i z szeregu wydarł się wojownik olbrzymiego wzrostu. Na głowie mu sterczał kołpak że łba jeleniego, a z ramion spadała ogromna skóra łosia.

Ten rzekł:

— Zali przystojna to rzecz, wodzu, wroga bronić?

Ale zamiast odpowiedzi, Tot wyrwał z ręki jednego ze stojących bliżej wojowników oszczep i cisnął nim w pierś mówiącego:

— Masz, zuchwalcze! — zawołał.

Olbrzym padł, ugodzony w samo serce, wydawszy chrapliwy jęk.

A Tot, zataczając po zgromadzonych groźne, krwią nabiegłe oczy, już szukał ofiary nowej; — za nim stała jego przyboczna drużyna, gotowa na wszystko.

— Kto się mej woli oprze, kto przeciwko mnie wystąpi, tego spotka los onego zuchwalca! — dodał ponuro, przesuwając się z zakrwawioną włócznią w dłoni między tłumem.

A gromady rozstępowały się, jak przed kroczącą grozą żywą.

I już nikt nie wydał głosu z siebie przeciwko temu mężowi, który siłą swej woli tysiące umiał utrzymać w posłuszeństwie dla siebie.

Tłum się powoli rozsnuwał po obozowisku; wkrótce przed namiotem została tylko drużyna przyboczna.

Tot wrócił, ciało zabitego olbrzyma kopnął nogą, Agatona wziął za rękę i wprowadził do swego namiotu.

Nazajutrz w obozowisku życie poczęło płynąć zwykłym trybem. Jedne gromady wojowników wychodziły, inne powracały z krwawych wypraw.

A kiedy po niejakim czasie okolica bliższa i dalsza były do cna zniszczone, Tot kazał ładować zrabowany dobytek na wozy i ruszać dalej w pochód. Agaton był ciągle przy nim.

Groźny wódz rozmawiał z Grekiem przez tłómacza i rad dopytywał się o jego ojczyste kraje.

Dowiedział się też Agaton, że Gotowie dążą ku północy, dokąd już były pociągnęły gromady Manów niezliczone. Widział posłów tego ludu, przybywających z różnych stron od swych wodzów.

Na Drewnicę na razie nie miano zamiaru uderzać, bo była zanadto na uboczu; ale przemyśliwano o zajęciu wspólnemi siłami stolicy i kraju Białogrodzian, o których bogactwie dochodziły ich wieści oddawna.

Tam, nad brzegiem morza Białego, myślały

osiąść te drużyny straszne, tam szukały dla siebie ojczyzny nowej, opuściwszy swe południowe koczowiska w stepach.

Powoli zdobywał Grek zaufanie gockiego wodza, ale je wreszcie zdobył. Gotowie przekonali się, że był nie z plemienia drewnickiego, ale z tego, z którym pobratymcy ich w porzuconej ojczyźnie na stepach się stykali, więc nie nastawali na jego życie, owszem radzi byli, kiedy gocki oręż ujął i wolą Tota do przybocznej jego drużyny przyłączonym został.

Mógł nawet uciec, gdyby chciał, ale rozważywszy trzeźwo zamiar ucieczki, postanowił jej zaniechać. Tęsknota ciągnęła go ku Drewnicy, ku Abibalowi, Mojmirowi i całej gromadzie tych ludzi dobrych, którzy mu tyle serca okazali, lecz tłumił ją w sobie. Uciec, to bardzo łatwa rzecz, ale trafić do swoich było niemal niepodobieństwem. Drogi nie znał, musiałby się przeto błąkać po lasach, przez które wciąż przeciągały zbrojne drużyny Gotów i Manów.

Gdyby się zaś po raz drugi dostał w ich ręce, niktby go nie był w stanie uratować. Los raz jeden okazał się sprzyjającym, ale szaleństwem byłoby liczyć na jego zmienną życzliwość.

Wiedział przytem, jaka groźna burza zbierała się nad Drewnicą; wszak jeszcze niedawno, zanim ruszono na północ w celu połączenia się z nadciągającymi od zachodu Manami, sam Tot krwawą złożył przysięgę wobec całej drużyny swojej, że po zdobyciu Białogrodu poprowadzi zbrojne zastępy na dziedzictwo Mestowe. Agaton więc zastanawiał się głęboko nad tem, w jaki sposób klęskę ową straszną odwrócić, jak stać się narzędziem ocalenia Drewnicy.

Układał sobie w głowie najrozmaitsze plany, ale po głębszej rozwadze, wszystkie je odrzucał, jako nie prowadzące do celu. Czekał więc i tylko z nadzwyczajną uwagą śledził każdy ruch Gotów, chcąc wszystko zbadać i o wszystkiem mieć dokładne pojęcie. Dlatego też wyuczył się przy pomocy tłómacza mowy gockiej o tyle, że mógł wyrozumieć pytania, z któremi się doń zwracano.

Tymczasem cały lud gocki posuwał się powoli ku północy. Najprzód szła pośpiesznie jedna część drużyny, by nadchodzącym miejsca postoju przygotować, potem wlókł się obóz cały, gwarny a rojny; wreszcie druga część drużyny zamykała pochód ten.

Płonęły naokół sioła ludne, płynęła strumieniami krew niewinna, bo dzicy wojownicy tępili wszystko, co napotkali na swej drodze. Jeńców nie prowadzili ze sobą, mordowali ich, natomiast zabierali wszelki dobytek, który wpadł w ich ręce.

Powoli wyludniały się opola; przechodzili przez wsie, w których nikogo, prócz kalek i starców, nie było.

Coraz częściej też natrafiali na zgliszcza, pozostałe po spokojnych siołach, ukrytych wśród lasów. Umknęła z nich ludność w nieprzebyte ostępy i knieje puszczańskie i czekała w bezpiecznem ukryciu, aż się przetoczy ta lawina straszna.

Raz zastąpiła im drogę przed grodem jakimś drużyna zbrojna, ale po krwawej walce wytępioną została.

Tot szedł, jak piorun, na czele swego ludu—i biegła na wsze strony groza jego imienia strasznego. Nareszcie dotarł do morskiego wybrzeża, a wziąwszy szturmem gród niewielki, zatrzymał się w nim, oczekując na Manów, którzy przez posłów uwiadomili go, że się z nim wnet połączą.

— Kraj cały od morza hen, aż ku górom śnieżystym obejmiemy w posiadanie! — rzekł raz ten groźny mąż na radzie starszych plemienia.

— Tu założymy grody mocne, z któych rozkazywać będziemy ludom ujarzmionym! — wołali wojownicy.

— Podzielimy się ich dobytkiem na wieczne czasy...

— Nikt się sile naszej nie oprze!...

Agaton słuchał tej dumnej mowy mężów nieprzyjacielskich i powtarzając za nimi okrzyki zwycięzkie, z trwogą wielką o losie ludu, pobratymczego czego Drewniczanom, myślał.

— Zali nikt przeciwko tej hordzie zuchwałych napastników nie wystąpi? — pytał się sam siebie... i czekał.

Aliści dano znać dnia pewnego, że wielka drużyna białogrodzkiego knezia jest już w drodze.

Tot śpiesznie zebrał swych wojowników i ruszył na jej spotkanie. Nastąpiło starcie straszne u brzegów morskich, ale niestety, zakończyło się ono klęską Białogrodzian.

Część ich znaczna została wytępiona, część przy-

prowadzono w pętach do obozu, a reszta umknęła ku warownemu grodowi.

Tego samego dnia nadeszły pierwsze oddziały Manów i dały znać, że Alman z głównym ludem swym kroczy w ślad za nimi.

W obozie Gotów powstał ruch, sposobiono się do wspaniałego i godnego przyjęcia wielkiego wodza bratniego plemienia.

Jakoż nazajutrz nastąpiło spotkanie. Potroiła się gromada wojowników.

Na dziedzińcu horodyszcza stanęli obaj wodzowie — Tot i Alman — i zaprzysięgli sobie przyjaźń na zawsze. Gotowie i Manowie mieli tworzyć odtąd jedną gromadę, ożywioną jedną myślą.

Po zdobyciu Białogrodu mieli się podzielić krainą całą i łupami.

Ucztowano też przez całe trzy dni; drużyny piły na umór, wznosząc głośne okrzyki na cześć swych wodzów zwycięzkich. Opowiadano sobie wzajemnie rozmaite przygody, chełpiono się z odniesionych zwycięstw.

— Bogowie w ręce nasze oddają nam ten kraj wielki, nikt go nam nie wyrwie! — wołano groźnie.

— Wotan panem jest losów plemienia naszego.

Agaton słuchał tych okrzyków z przerażeniem i w duszy biedził się nad tem, co ma ze sobą zrobić. Widział siłę wrogów a słabość przyjaciół swych — i tracił nadzieję wszelką. Dla własnego bezpieczeństwa musiał udawać wesołego, brać udział w zabawach barbarzyńskich, choć bolał nad losem ludu, skazanego na zagładę.

Pewnego dnia oddział zbrojny, który wysłano dla zbadania okolicy Białogrodu, gdyż Alman z Totem postanowili z całą siłą wyruszyć na jego zdobycie, przyniósł wieść niespodzianą.

— Pomoc nadeszła nieprzyjacielowi! — krzyczano naokół. — Część już weszła do miasta, a gromady liczne wciąż płyną na łodziach i przedzierają się przez puszczę... moc ich wielka!...

Natychmiast Alman wraz z Totem, zebrawszy swych setników, zaczęli się naradzać nad otrzymaną wieścią. Krótko trwały te narady obaj wodzowie, za zgodą drużynnych naczelników, postanowili zaraz ruszyć na Białogród.

W obozie zaczął się ruch. Wojownicy stawali w szeregach i czekali rozkazów. Wszyscy byli ożyw-

wieni bojowym zapałem, odpocząwszy po trudach wędrówki.

Wtem, nad wieczorem, dano znać wodzom, że do obozu przyszli jacyś mężowie w poselstwie od białogrodzkiego knezia.

Tot kazał ich przyprowadzić przed namiot, w którym razem z Almanem zamieszkał.

Niebawem ukazało się kilkoro mężów poważnych, w bogate szaty przybranych. Agaton, który stał tuż za Totem w drużynie jego przybocznej, zdumiał się wielce, albowiem w tym, co był na czele poselstwa, poznał nienawistnego sobie Abbara.

Zadrżał. Skąd ten człowiek tutaj się naraz znalazł?

Tysiące pytań napłynęło mu do głowy.

— Może to tylko złudzenie?—pomyślał.—Ale nie, to tenże sam Abbar, ten sam Fenicyanin, który nic prócz chciwości i zdrady w sercu nie nosił...

Ukrył się przeto nieznacznie poza plecami innych wojowników i czekał, co nastąpi.

Abbar rzucił się na kolana przed groźnymi wodzami, i wyciągnąwszy ku nim ręce, jął niewprawnie wyprowadzać rzecz swoją.

Mówił, jako Świętopełk Białogrodzki radby w związki przyjazne wejść z Gotami i Manami, że gotów jest ustąpić im część swych rozległych włości, oraz wielkie skarby u stóp ich złożyć, byle tylko gród jego pozostawili w spokoju.

— Poco ta walka?... — jęczał. — Poco ta wojna straszna?... Ziemi dla wszystkich jest dosyć; mój pan, potężny kneź Świętopełk, jest mężem pokoju i porządku. Lepsza z nim zgoda, niż wojna, której skutek niepewny, zwłaszcza, gdy na pomoc Białogrodowi niezwyciężony Mest z Drewnickich lasów ciągnie...

Świętopełk go przywołał, ale wolałby z usług jego nie korzystać, bo sam w głębi duszy nieprzyjaźnią wielką ku niemu płonie.

Skoro Totowi tłómacz przełożył słowa Abbara, drużyna podniosła straszny gwar i krzyk:

— Prowadź nas na Mesta, drewnickiego knezia, co naszym taką klęskę haniebną zgotował!...

— Zagłada drużynie drewnickiej!

Zajaśniało oblicze Agatona, gdy wiadomość o przybyciu drużyny drewnickiej usłyszał. Zadrżał z radości — i zakotłowało mu się w głowie od różnych myśli niespodzianych.

Tymczasem Alman nakazał ciszę, zaczem po krótkiej naradzie z Totem, kazał obwieścić posłom: że bogowie Gotów i Manów, oraz innych ludów, do tego plemienia należących, oddali im krainę Białogrodzian i Drewniczan na własność, że przeto w żadne związki przyjaźni ze Świętopełkiem wchodzić nie myślą.

— Swiętopełk jest sługą naszym — mówili — postąpimy więc z nim, jak ze sługą i poddanym. Radzimy mu zawczasu ustąpić dobrowolnie z Białogrodu i przenieść się z całym ludem do okolic dalszych. Oszczędzimy go wtedy i ścigać nie będziemy...

Ale biada kneziowi, gdy zechce przeciw nam walczyć z księciem drewnickim — Mestem: zetrzemy zupełnie z powierzchni ziemi jego horodyszcze, a lud białogrodzki wszystek, nie wyłączając kobiet ani dzieci, w pień wytniemy! Na Mesta już wyrok zapadł: nie spoczną nasze drużyny, póki Drewnicy całej w zgliszcza nie zamienimy. Zemsta nasza za klęskę drobnej części naszych wojowników będzie straszna!

Wysłuchali tej mowy wyślańcy Świętopełkowi i z przerażeniem wielkiem wzajemnie na siebie spoglądać poczęli.

Abbar rzucił się znowu na kolana przed Almanem, wołając:

— Litości, panie!

Ale inni posłowie nie chcieli znać patrzeć na to upokorzenie swego naczelnika i usunęli się na bok.

A Abbar, czując na sobie pogardliwe spojrzenie obu wodzów, wstał i półgłosem rzekł do Tota:

— Królu i panie potężny, dozwól mi na osobności z tobą pomówić, albowiem z polecenia mego pana mam ci ważną rzecz do oznajmienia

Wówczas Tot, oczyma odszukawszy Agatona, kiwnął nań przyjaźnie, mówiąc:

— Chodź z nami do mego namiotu: wytłómaczysz mi słowa tego białogrodzkiego męża...

Wówczas atoli nastąpiła rzecz niespodziewana, bo oto Abbar, spojrzawszy na Agatona, zaczął się trząść, jak w febrze, i odezwał się doń fenicką mową:

— Tyżeś to jest Agaton Grek?

Agaton kiwnął głową.

— Nie gub mnie, panie!... uratuj...—przemówił błagalnie Abbar.

— Zaufanym wielkiego wodza jestem, a tyś wrogiem ludu, z którym mnie łączy związek przyjaźni...

Tak mówił Agaton, ponieważ się obawiał zdrady ze strony przebiegłego Fenicyanina. I już więcej nic nie rzekł, bo Tot, po chwilce cichej rozmowy z Almanem, zbliżył się ku niemu.

Weszli razem do namiotu.

Tot usiadł na pęku skór i zaczął się z wielką uwagą przyglądać ruchliwej twarzy Abbara, wreszcie zwrócił się do Agatona, mówiąc:

— Nieufność w mojej duszy wzbudza ten pies białogrodzki... Tamci, co z nim przyszli w poselstwie, innymi mi się wydają. Zapytaj go, co mu jest polecone do wyjawienia?

Agaton udawał, że nie zna Abbara, i spojrzał nań surowo, a wspierając się na drzewcu oszczepu, rzekł doń po fenicku:

— Pamiętaj, że życie twoje w mem ręku, albowiem wódz Gotów postanowił zatrzymać kilku twych towarzyszów wraz z tobą i zadać im męki straszne, a tobie najstraszniejsze, ile że jesteś ich naczelnikiem.

Abbar jęknął.

— Nie przyznawaj się do znajomości ze mną, bo trudniejby mi było cię uratować, a zamierzam to uczynić narazie dla swych własnych celów.

Abbar przetarł czoło, i natychmiast twarz jego pokryła maska obojętności.

— A teraz mów szczerze, z czem tu przyszedłeś, mów zaś to językiem białogrodzian.

Abbar był pewien, że Grek, jako zaufany nieprzyjacielskich wodzów, ich jedno dobro ma na celu, nie podejrzewając więc z jego strony żadnego podstępu, jął prędko mówić:

— Ja, potężny królu i władco, o którego imieniu nieraz słyszałem w moich podróżach licznych, nie należę bynajmniej do tego barbarzyńskiego, dzikiego plemienia, co się obecnie w Białogrodzie i u ścian jego zgromadziło. Okrutni bogowie tej krainy, zniszczywszy czasu burzy moje okręty wielkie, wyrzuciły mnie z kilkunastu towarzyszami na te brzegi. Rok cały w Białogrodzie siedzimy, myśląc o tem, jak stąd umknąć.

Ogromną radością napełniło się serce moje, gdym usłyszał, że nadszedłeś ty ze swoimi wojownikami, wielki, potężny królu! Przyszedłeś po to, by objąć w posiadanie ziemie bogatego grodu Świętopełkowego i otaczających go dziedzictw. Przypuszczam, że cię tu przywiodły łaskawe bogi, byś, co do ciebie słusznie należeć

powinno, zabrał na własność, a nas z niewoli wyswobodził. Zyskałem zaufanie białogrodzkiego knezia tylko po to, bym, poznawszy jego siłę czy słabość, tobie usługi swe mógł ofiarować!...

I zatrzymał się. A gdy Agaton rzecz całą Totowi wytłomaczył, ten wzruszył ramionami i zawołał:

— Śmiech tylko we mnie wzbudza siła Świętopełkowa. pobiliśmy już dwukrotnie drużyny jego, a w tych dniach pobijemy jeszcze po raz trzeci i gród weźmiemy!

Ale Abbar, bynajmniej tem nie stropiony, wyciągnął ręce ku wodzowi i tak dalej mówić począł:

— Wielką jest potęga twojego ludu, o, królu, przed którym ziemia cała w prochu ledz powinna, ale i siła Świętopełka z każdą chwilą wzrasta. Oto już przednie oddziały wojowników drewnickiego knezia stanęły w szeregach obrońców grodu, a on sam, niezwyciężony krwawy Mest, dąży na łodziach niezliczonych, ciągnie lasami ciemnemi, z nieustraszoną drużyną swoją. Może dzisiaj, może jutro stanie już u bram miasta.

Posłyszawszy to, Tot syknął gniewnie, mrucząc:

— Rozbijemy Mesta i drużynę jego w proch; pokryje się rzeka czerwienią krwi jego wojowników...

Potem znów zwrócił się do Agatona:

— Zapytaj go, zali nic więcej nie ma do powiedzenia?...

Grek powtórzył pytanie:

Natenczas Abbar przykląkł przed Totem i rzekł:

— Wiem, najpotężniejszy królu gór i mórz, że to uczynisz, ale iluż wojowników twoich w walce z Mestową drużyną polegnie!... Bo walka będzie krwawa. Nie lepiejże dla ciebie, byś zawładnął Białogrodem, byś zmógł Mestowych ludzi, nie narażając siebie i swoich?

— A jakżeż to uczynić?

— Ja mam doskonały sposób...— cedził przez zęby Fenicyanin. — Powiem wszystko, tylko niechaj twa łaska królewska na mnie spłynie!

— Powiedz, nagrodzi cię pan mój za pomoc twoją. Czego żądasz wzamian?

— Błagam o to, by mi miłościwy król pozwolił dokończyć budowy okrętów, by mi oddał część zdobytych skarbów białogrodzkich i do ojczyzny wrócić pozwolił.

A gdy Agaton powiedział o tem Totowi, ten rzekł:

— Wyjaw, cudzoziemcze, tajemnicę swoją, a uczynię to, o co prosisz!

— Wezmę na okręty ambrę i futra, nic więcej.

Tot kiwnął głową na znak zezwolenia i czekał dalszego ciągu opowieści Fenicyanina.

Więc Abbar począł mówić głosem przyciszonym: że wskaże przejścia tajemne wśród puszczy, któremi poprowadzone drużyny Gotów i Manów będą w stanie znienacka obskoczyć gromady witeziów Mestowych i rzeź straszną wśród nich sprawić...

— A gdy rozgorzeje krwawa walka, — ciągnął dalej wiarołomny poseł, — natenczas otworzę przy pomocy swoich ludzi bramy miasta i wpuszczę wojowników twoich, wielki królu i panie! Tak zdobędziesz łatwo gród i pomścisz się na drewnickim kneziu, który z duszą własną z zasadzki nie umknie.

Zastanowił się głęboko nad tem wszystkiem Tot, i ponowiwszy obietnicę Fenicyaninowi, rzekł doń:

— Teraz możesz odejść, ale pamiętaj, straszna będzie moja zemsta nad tobą, jeżeli względem mnie i mo-

ich w plugawem sercu zdradę nosisz. Niebawem dam ci znać, co masz czynić.

Skoro Abbar oddalił się z namiotu, Tot, przywoławszy Almana, rzecz całą mu wyłożył. Obaj zgodzili się na jedno, że z usług cudzoziemca skorzystać należy, albowiem czuli obaj doskonale, choć się z tem nie zdradzali, że niełatwą rozprawę mieliby z drużyną Mestową.

— To groźny wróg! — rzekł Tot.

A Agaton, który przy naradzie był obecny, potwierdził słowa jego.

— Walka byłaby zacięta, siłaby naszych na pobojowisku ledz musiała, a któż może zaręczyć za zwycięztwo?... Lepiej użyć podstępu... — mówił wódz Gotów.

A Alman dodał:

— Ludu mi mego szkoda, wszak na zawsze w zdobytym kraju osiąść mamy. Kto wie, coby nastąpiło, gdyby się szala zwycięstwa na ich stronę przeważyła... zginęlibyśmy wszyscy.

Przyznali też słuszność swym wodzom starsi mężowie, którzy do rady zostali powołani.

Tymczasem Agaton bogom helleńskim dziękował

za to, że mu pozwolili być świadkiem zdrady Abbarowej. Myślał teraz jedno nad tem, jak plany straszne pokrzyżować, jak dać znać Mestowi i drewniczanom o gotującej się zasadzce.

Czekał więc trwożnie sprzyjającej do działania pory.

Aż oto koło południa przywołano go znowu do namiotu, gdzie siedzieli na skórach niedźwiedzich Alman z Totem, obaj jacyś zamyśleni.

Tot pierwszy się doń odezwał:

— Wiesz, jak ci ufam, wiesz, żem cię od śmierci niechybnej uratował; znasz wroga lepiej od innych, ile żeś z nim razem dłuższy czas był spędził.

Postanowiłem zawierzyć twej mądrości, którą nieraz w mych oczach okazałeś: oto czynię cię wysłańcem do Świętopełka. Idź z tym cudzoziemcem, niech ci pokaże owe parowy, któremi ruszą na wroga wojownicy nasi. Przyjrzyj się wszystkiemu, bo radbym mieć pewność, czy on zdrajca białogrodzkiego knezia, jest tylko jego zdrajcą, nie zaś i naszym. Skoro się przekonasz, że mówił prawdę, natenczas oświadcz Świątopełkowi, że chętnie z nim w układy wejść zamierzamy.

W tym celu niechaj przyśle innych posłów, bo

tych, co tu są, dla pewności waszego ocalenia zatrzymać musimy.

Do skończenia owych układów nie ruszą się ani Gotowie, ani Manowie z obozowisk swoich; niech także na miejscach swoich pozostaną drużyny białogrodzkie i drewnickie.

— Bogom olimpijskim dzięki wznoszę, — zawołał Agaton—że was, wielcy wodzowe potężnych ludów, natchnął poruczeniem memu rozumowi tej tak ważnej sprawy! Nikt lepiej odemnie nie zna nieprzyjaciela, nikt też bardziej odemnie nie jest w stanie wam usłużyć.

Wszystkich władz umysłu mego dołożę, by jak należy tę ważną sprawę załatwić.

— Nie pozostaną też usługi twoje bez nagrody, bo hojnie wiernych nagradzać umiemy, a zdrajców strasznie karać potrafimy, — wtrącił z bezczelną pychą olbrzymi Alman.

Zaczem obaj wodzowie wyszli z namiotu i na placu obozowym w obecności zbrojnych gromad wojowników oznajmili przywołanym posłom białogrodzkim: jako po naradzie głębszej z rozumem swoim, postanowili wejść w porozumienie z ich kneziem.

Usłyszawszy to, Biarogrodzianie uradowali się nie-

zmiernie, nie podejrzywając zdrady, i bez oporu zgodzili się pozostać w obozie aż do przyjścia tych, którzy ze Światopełkiem układy prowadzić mieli.

Zaraz też Agaton, dobrawszy sobie kilku z drużyny, razem z Abbarem ruszył manowcami ku murom Białogrodu.

Gdy już znacznie się od obozu oddalili, Abbar zaczął wysławiać pod niebiosy moc i siłę Gotów i Manów, sądząc, że Agatonowi tem sprawi przyjemność.

Grek słuchał i potakiwał, w duszy układając sposób pomszczenia się na zdrajcy.

— Jakto wielki Melkart syryjski kieruje losami człowieka! Myślałem, że jak ostatni nędzarz wrócę do ojczyzny: Itobal się uraduje, że zamiast synowca przywiozę mu cały okręt przedniej ambry.

— Biedny Abibal!...—kochałem go, jak syna, ale ten niewdzięcznik uciekł i pewno śmierć już znalazł. A czy ty, panie, przypadkiem nie masz o nim wiadomości jakiej?

— Co mnie ten młodzieniec obchodzić może? — odparł Grek.—Opuścili mnie wśród puszczy podczas snu, oręż mi w dodatku zabrawszy.

— Wszakże miłował cię ów olbrzym niewolnik?

— Takież to było miłowanie. Ale odnajdę ja ich, jeżeli tylko żywi są. Niewolnika na wolnym ogniu upiec każę, a Abbibala oddam tobie, byś się z nim rozprawił.

Abbar uśmiechnął się złowrogo:

— Niewdzięczna, brzydka duma była w tym młodzieńcu: oto ciebie, któryś mu ojca zastępował, opuścił, a we mnie szukał zdrady, we mnie, co mu dobra jeno życzyłem.

— Chciwy był na ambrę, przeto, gdy mi go wydasz, poślę go po nią na dno morskie. Ucieszę w ten sposób Itobala, który mi tego czynu nie zapomni wynagrodzić, a ciebie wyręczę w zemście, która ci się słusznie, potężny panie, należy.

Tak rozmawiając, weszli w las głęboki, który naokół otaczał Biały gród.

Tu Abbar wskazał tajemne szlaki, co prowadziły do miasta, mówiąc:

— Temi jarami w ciszy nocnej, całe wojsko Gotów i Manów kroczyć może, aż pod sam obóz drewniczan. Gdy na nich znienacka napadniecie, sprawicie wielkie zamieszanie, tymczasem ja wspólnie ze swoimi

otworzę bramę miejską, przy której straż pełnić będziemy.

Posunęli się dalej — i naraz z poza krzaków leszczyny Agaton dojrzał obszerną polanę, na której rozłożone było obozowisko drużyny drewnickiej.

Niezmierna gromada zbrojnego ludu siedziała przy ogniskach, na rozesłanych skórach, i gwarnie rozprawiała pomiędzy sobą. Nieopodal płynęła rzeka Biała i niosła na powierzchni swoich wartkich wód łodzie niezliczone, pełne zbrojnych witeziów. Łodzie wyciągano na brzeg, a witezie dążyli do ognisk.

— Moc tego ludu być musi .. — szepnął Agaton.

— Mest drewnicki poruszył wszystkie opola i ściągnął wszystkich ludzi, gotowych do walki, by was zetrzeć w proch. Ale mu się to nie uda, otoczycie ich ze wszystkich stron i w pień wytniecie.

Agaton kiwał głową i oczyma szukał w obozującej gromadzie dawnych towarzyszów swoich, ale ich nie zauważył; ci, co obozowali, byli to ludzie nieznani mu, obcy.

Więc znowu zwrócił się do Abbara:

— A gdzież to ten Mest sławny?

— Pewnie na horodyszczu razem ze Swiętopełkiem ucztuje... a może jeszcze nie przybył...

Poczem dodał:

— Chodźmy stąd, panie, żeby nas snać nie dostrzegli, bo wzięliby za zdrajców. Drogę, prowadzącą na tę polanę, już znasz, możesz więc nawet wrócić się i to, coś widział, królom opowiedzieć...

— Tak, potrafiłbym już Manów i Gotów przyprowadzić tutaj, bo wiem, jak trafić, drogę zapamiętałem, ale swoje poselstwo spełnić muszę.

Poprowadź-że nas teraz na horodyszcze, niech się przypatrzę Świętopełkowi, a może i Mesta zobaczę. Zresztą dobrze byłoby wiedzieć, jak wygląda on Białogród, który zdobywać mamy...

— Dobrze mówisz, panie... — odrzekł Abbar. — Posłusznym jest sługa twój, tylko nie zapomnij o mnie, gdy będziesz zdawał sprawę przed wodzami. Wiem, jak ci ufają i co możesz uczynić dla mnie, jeśli zechcesz!...

— Wedle zasług twoich nagrodzonym zostaniesz... — mruknął przez zęby Grek i poszedł razem ze swymi ludźmi za Abbarem.

Długo musieli się przedzierać przez gęstwinę, za-

nim wyszli na miejsce równe, z którego widać było, jak na dłoni, cały Białogród, położony na wzgórzach u brzegu zatoki.

Gdy doszli do częstokołu, którym opasany był gród sławny, zatrzymali ich witezie białogrodzcy, ale wnet puścili, dowiedziawszy się od Abbara, że na horodyszcze razem z nim idzie poselstwo z obozu nieprzyjacielskiego.

Agaton z ciekawością przyglądał się onemu Białogrodowi, o którego wspaniałości tyle był w Drewnicy słyszał.

I dziwił się, albowiem widział wzdłuż ulic nierównych proste chaty, słomą i sitowiem kryte, nie zaś domy wspaniałe z kamienia i ciosu. Niektóre zabudowania były obszerniejsze i porządniejsze, widocznie też należały do zamożniejszych mieszkańców.

Szli wolno, gdyż tłoczył się około nich tłum wszelakiego ludu, od którego wiały smutek i trwoga. Patrzano na nich, nie wiedząc, czy uważać ich za przyjaciół, czy też za wrogów.

U stóp samego horodyszcza, obwiedzionego głębokim rowem, musieli się znowu zatrzymywać, gdyż

przystąpili do nich wojownicy, pytając, skąd i z czem przychodzą.

— Poselstwo z obozu nieprzyjacielskiego do knezia Świętopełka,—rzekł głośno Abbar.

— Zaczekajcie tu! — zawołał naczelnik straży.

I odszedł, niebawem atoli wrócił z oznajmieniem, że kneziowie na nich czekają.

Wówczas Agaton rzekł po cichu Abbarowi, by polecił zatrzymać tych, co z nim razem przybyli, w miejscu bezpiecznem, albowiem sam zda rzecz z poselstwa swego.

Fenicyanin zdumiał się wielce, nie rozumiejąc, dlaczego Grek żądał od niego zatrzymania posłów, więc spytał:

— Wszak wobec nich możesz z kneziem rozmawiać?...

— Nie mogę, gdyż mam polecenie stawić się przed kneziami tylko z tobą. Tyś swoje zrobił, więc czekaj tylko na nagrodę, która cię nie minie, a o resztę nie pytaj!

Jakoż na rozkaz Abbara zaprowadzono wszystkich towarzyszów Agatona do jednej z izb zamkowych, by

ich przywołać dopiero wtedy, gdy będzie tego potrzeba.

Wnet też przystąpił do Agatona setnik drużyny przybocznej Światopełka i zawiązał mu oczy. Zaczem ruszyli ku kneziowskiemu domostwu.

Agaton czuł pod nogami stopnie schodów drewnianych; potem słyszał, jak się przed nim brama ze zgrzytliwym jękiem roztwierała; naokoło słychać było głosy zmięszane, okrzyki wojenne, pieśni, półgłosem nucone.

Widocznie przechodzili przez dziedziniec, bo pod stopami jego skrzypiał teraz twardy żwir, a z góry szedł ku niemu poszum senny poruszanych przez wiatr liści. Wreszcie ktoś pochwycił go za rękę i wiódł dość długo po wyłożonych miękkiemi futrami i dywanami podłogach.

Stanęli.

— Czy ten jest posłem? — zapytał głos jakiś słaby.

— Tak, kneziu, — odrzekł ten, co Greka prowadził, i jednocześnie zerwał mu z oczu zasłonę.

Agatonowi okrzyk radosny wyrwał się z głębi duszy, albowiem ujrzał przed sobą siedzącego na zło-

conym zydlu Mesta, obok drugiego jakiegoś męża w purpurze i złotogłowiu.

Za kneziami stali Radan, Wit, Bolko, oraz kilku nieznanych mu starców, a w tyle ujrzał przyjazne oblicza Wdałego, Mojmira i Abibala, w gronie drewnickich i białogrodzkich witeziów.

— Tyś-że to ten sam Agaton, którego śmierć okrutną jużeśmy wszyscy opłakali?... — zawołał Mest, podnosząc się ze swego miejsca.

— Agaton! Agaton! — ozwały się znane mu głosy przyjaciół.

— Dobre, czy też złe bogi tutaj ciebie sprowadzają?—pytał dalej Mest.—Jako druha, czy jako wroga mamy cię przywitać?

— Wiary wam, kneziu, i wam, sławni rycerze i przyjaciele, dochowałem; sam zdrady nie niosę, lecz prowadzę wam zdrajcę!

To mówiąc, wskazał na Abbara, który jak liść osiny drżeć począł, zoczywszy naraz Mojmira i Abibala.

— Łaski! — wołać począł nikczemnik. — Litości!

I rzucił się na kolana przed Świętopełkiem, na którego twarzy nieopisane zdumienie się odmalowało. Klęczał i powtarzał ciągle:

— Łaski, łaski... nie ja jestem zdrajcą, a ten człowiek wrogi zdradę w sercu nosi!

Wtem z gromady witeziów wystąpił Mojmir i skłoniwszy się przed Świętopełkiem, rzekł:

— Nie wierz mu, panie, my znamy tego człowieka, znamy jego podłą i plugawą duszę! Oddaj go w moje ręce, a zobaczysz, jak śpiesznie wyprawię go do państwa bogów czarnych.

Zaczem chwycił Fenicyanina za kark, podniósł go nieco ku górze, poczem cisnął na ziemię.

— Nic nie rozumiem, — ozwał się Świętopełk.— Ten cudzoziemiec, to przecież najwierniejszy sługa mój, któremu zaufałem, jak bratu. Przyjąłem go wraz z kilkoma jego towarzyszami, kiedy ich fale morskie na nasz brzeg wyrzuciły, przyjąłem gościnnie i serce mu odkryłem. Nie może nigdy być to, co mówicie!

Więc Mest przystąpił do Agatona i rzekł:

— Jakoż i dla mnie wiele tu jest niezrozumiałego, przeto radbym o wszystkiem wiedzieć, ażeby wedle sprawiedliwości postąpić.

Opowiedz więc, przyjacielu, jakim to sposobem dostałeś się do grodu w poselstwie od naszych wrogów. Mów wszystko, a tymczasem niech straż da ba-

czenie na tego człowieka, który się był niecnie wkradł w łaski mojego brata, knezia białogrodzkiego.

Zaległa cisza, a Agaton wraz rozpoczął opowieść swoją o wszystkiem, co przeszedł od chwili swego pojmania czasu walki z wrogami w puszczy mirowskiej.

Mówił długo, bo chciał rzecz swoją przedstawić jasno i wiernie, a gdy skończył, podziw zajaśniał na obliczach wszystkich obecnych.

— Łaska bogów wyraźna śle cię ku nam, drogi naszemu sercu witeziu sławny! —zawołał Świętopełk.— Otworzę przed tobą skarbiec swój, byś sobie nabrał tyle dobra, ile zapragniesz. Co się zaś dotycze tego nikczemnika, odbierze on zapłatę za niecne czyny swoje!

I wyciągnął rękę ku Abbarowi, który leżał na ziemi, jęcząc straszliwie.

— Unieście go natychmiast z przed oczu moich, albowiem splamiłby się wzrok mój, gdybym nań dłużej spoglądał; wrzućcie go w najgłębszy loch wieży stołbowej, — niech tam, grozą strachu zdjęty, czeka wraz z towarzyszami swymi na ostateczny los swój.

Wnet pochwycono Abbara i wyniesiono z izby.

Kneziowie razem z witeziami i mądrymi starcami

zaczęli się naradzać nad tem, jak skorzystać z wieści, przyniesionych przez Agatona z obozu nieprzyjaciół.

Czas naglił, bo niebawem wypadało dać odpowiedź poselstwu całemu, na którego czele stał Agaton.

— Oni cię tam zamordują, gdy się o wszystkiem, co zaszło, dowiedzą.. — rzekł Mest.

— Zostań z nami! — powtarzali witezie.

A Abibal, uczepiwszy się ramienia przyjaciela, błagał go, by do obozu wrogów nie wracał.

— Zaledwie się rozradowało serce moje, czy znowu ma krwią żałosną spłynąć? — zawodził młodzieniec.

— Damy znać Gotom, że zwrócimy im przysłanych ludzi w zamian za pozostałe w ich obozie poselstwo nasze—przekładał Świętopełk.—Ty nie chodź tam, nie oddawaj się w ich ręce, bo zginąć łacno możesz.

I tak wszyscy pragnęli zatrzymać Agatona, wszyscy, nie wyłączając obecnych białogrodzian.

Agaton milczał czas jakiś, zmagając w sobie chęć pozostania wśród tych, których całem sercem był ukochał i którzy mu tyle dobrego wyświadczyli.

Niepewność jakowaś, niepewność straszna miotała jego duszą, ale wnet i ją pokonał. Wyrwał się Abiba-

lowi z ramion, i poduosząc na kneziów swoje mądre oczy, z których duma helleńska biła, rzekł:

— Wiem, potężni kneziowie, i wy, sławni towarzysze moi, witezie drewniccy, jako z całego serca radzibyście mnie zatrzymać przy sobie, ale ja zostać nie mogę. Przysiągłem bogom moim, jako wywdzięczę się wam wedle sił moich za gościnę, której razem z przyjaciółmi wśród was doświadczyłem, przysiągłem i przysięgi dotrzymam.

Wrócę do nieprzyjaciół, ażeby ich rzucić na ostrza oszczepów waszych, ażeby w tę zasadzkę, co ją dla was gotowali, ich samych wpędzić. Wrogowie mi ufają, więc ufność tę dla ocalenia Białogrodu wyzyskam.

Takie jest postanowienie moje i takiem pozostanie. Mam też niepłonną nadzieję, że bogowie mnie i tym razem od śmierci zasłonią.

Słysząc to, Świętopełk białogrodzki rzekł:

— Szczęśliwy kneź drewnicki, że takich mężów w gronie swojej dzielnej drużyny mieć może...

— Ha, kiedy tak —zawołał Mest,—to idź i czyń, coś zamyślił!

Nie namawiali też więcej Agatona, by pozostał,

lecz dalej radzili, jak pomoc jego w celu porażenia nieprzyjaciela wyzyskać.

I postanowiono, że Grek odejdzie z poselstwem dla oznajmienia wodzom Manów i Gotów, jako Świętopełk, kneź białogrodzki, gotów z nimi w układy pokojowe wejść, prosząc zarazem, by uwolniono jego ludzi, ponieważ innych zamierza wnet wyprawić.

— Ja z poselstwa, jak należy, się wywiążę—rzekł na zakończenie Agaton,—a drużyny Tota i Almana popoprowadzę wskazanemi przez Abbara ścieżynami tajemnemi tak, żebyście je co do nogi wybić mogli. Bądźcie więc gotowi i zasadzkę mądrze urządźcie. Gdy puszczyk złowrogo wśród ciszy nocnej zawodzić pocznie, będzie to znak, że razem z nieprzyjacielem ku wam się zbliżam.

Zaczem rzucono się ku Grekowi i poczęto go kolejno brać w ramiona. Wszyscy mieli nadzieję, że podstęp się uda i tym sposobem Białogród ocalonym zostanie.

Najczulej żegnał się z Agatonem Mojmir i Abibal; obojgu łzy rzęsiste płynęły z oczu z nadmiaru wzruszenia.

— Może ja już więcej pana mego nie ujrzę.. — zawodził Mojmir.

— Może ostatni razmawiam z tobą,—mówił Abibal, płacząc.

— Miejcie nadzieję, że jeszcze tu nie długo razem biesiadować będziemy.. — pocieszał ich Agaton, hamując w sobie wzruszenie wielkie.

Zaczem oddalono wszystkich z izby; zostali tylko kneziowie, oraz kilku starców. Wówczas przyszli posłowie, których do tej pory w izbie zamkowej trzymano, i rozmówiwszy się o celu poselstwa swego razem z Agatonem, niosąc bodate podarki dla swych wodzów, horodyszcze opuścili.

Nie podejrzewali zdrady, więc wracali ochoczo, podziwiając on gród bogaty, co wkrótce ich ludu miał się stać własnością. Agaton także udawał wesołego, choć w duszy czuł smutek serdeczny, opuszczał bowiem tych, których ukochał, a wracał do tych, co jeno wstręt w nim wzbudzali.

Udało mu się dzięki wzrodzonemu sprytowi i sprzyjającym okolicznościom, wypełnić część planów, ale pozostała do dokonania część druga, stokroć niebezpieczniejsza od pierwszej.

Miał jednak nadzieję, że łaskawi bogowie olimpijscy go nie opuszczą; i spoglądając zdaleka na potęż-

ne wieżyce horodyszcza, wokoło którego rozsiadło się miasto sławne, powtarzał sobie w myśli:

— Ocalę cię, grodzie przyjaciół moich, — nie dopuszczę pohańbienia świątyni sławnej drogiego sercu memu ludu!

VI.

Nazajutrz o samym zachodzie słońca powrócili z obozu nieprzyjacielskiego posłowie Świętopełkowi, donosząc kneziowi, jako królowie Tot i Alman skłonni są zapobiedz rozlewowi krwi i pokojowo zatarg i waśń wszelką załatwić pragną. W tym celu w przeciągu dni trzech przyślą do Białogrodu swych mężów zaufania, którzy warunki wiecznej przyjaźni podadzą i przysięgą wzajemną je potwierdzą.

Ze swej strony przemawiali zgodnie za pokojem, albowiem moc orężna wrogów przechodzi siły drużyn białogrodzkich, drewnickich i innych, razem wziętych.

— Ludy całe pójdą na nas... wystąpią przeciwko nam nietylko wojownicy — mąż w męża ród olbrzymów, ale nawet niewiasty i dziewice, nie ustępujący

braciom i mężom swym w męstwie, sile i sprawności wojennej.

Tak zakończyli posłowie, zdając kneziom sprawę z tego, co widzieli i słyszeli w obozie Gotów i Manów.

Ale kneziowie już wiedzieli, co ta proponowana trzydniowa odwłoka oznacza, wiedzieli również że wróg pragnie niespodziewanie natrzeć na nieprzygotowane zupełnie do boju drużyny, wytępić je do ostatniego człowieka i Białogród bezbronny zdobyć; więc kazali witeziom mieć w pogotowiu oręż, wyjaśniwszy im rzecz całą.

— Wieńcem trupów otoczymy gród Światowidowy! — wołali rycerze.

— Wieczną sławą okryjemy ogniska domowe nasze!

— Prowadźcie nas na bój krwawy, kneziowie wielcy!

— Niech żyje Mest, drewnicki pan! — krzyczeli białogrodzianie.

— Naszego knezia brat! — huczał tłum, przeciągający przez ulicę.

A kneziowie stali obok siebie, jak dwaj bracia

rodzeni, zapomniawszy o wszelkich swarach i waśniach wobec wspólnego wroga.

Wtem wystąpił z gromady mężów starszych człek już podeszły i rzekł:

— W gaju świętym, wedle obyczaju przodków, stwierdzimy przyjaźń plemienia naszego!

— Do Światowidowego gaju chodźmy!

Kneziowie ujęli się za ręce i tak, na czele niezliczonych tłumów, szli wolno ku gajowi, szumiącemu na wzgórzu nad samem wybrzeżem morskiem.

Zatrzymały się gromady przed wielką świątynią, z modrzewiowych, misternie ciosanych bierwion zbudowaną, i zawiodły na cześć Światowida pieśń długą, rozlewną.

Tymczasem kneziowie stanęli przed wrotami dębowemi, na których wyrzezane były godła panującego we wnętrzu bóstwa, i czekali

Czekali niedługo, bo oto naraz rozwarły się podwoje, a z głębi dał się słyszeć głos stłumiony:

— Kto narusza pokój bogów?

— Najprzedniejsi słudzy wielkiego, z wysokości niebios na świat spoglądającego Światowida — odrzekł Świętopełk, składając oręż na ziemi.

— Przestąpcie progi świątyni, o ile serca wasze czyste są i zdrady w sobie nie chowają!...

Kneziowie weszli; ogarnęła ich ciemność nagła, albowiem zaraz za nimi zawarła się brama.

— Czarny bóg zasłonił świat i otoczył go ciemnością. Straszne było panowanie jego, dopóki nie został zwyciężony przez boga Białego, który spuszcza na ziemię jasne promienie i dobroczynny deszcz... — zagrzmiał głos tajemniczy.

Naraz uczynił się szmer — rozdarła się zasłona, która dzieliła świątynię na dwie połowy. W głębi paliło się jasnym płomieniem ognisko ofiarne, a podsycały je niewiasty w bieli, z wiankami zielonemi na rozpuszczonych włosach.

Widać było na pomalowanych czerwienią ścianach rozwieszone oszczepy o złotych i srebrnych ostrzach, łuki olbrzymie, oraz wielkie, śniedzią od starości pokryte miecze. Pośrodku stał na kamiennym, czarnym złomie posąg wysoki, przybrany w purpurę; głowę miał o czterech obliczach, głowę ruchomą i straszną, albowiem zamiast oczu tkwiły w niej kawały krwawego bursztynu.

Kręciła się ta głowa i zdawała się przewiercać ostrym błyskiem oczu duszę tych, co na nią patrzyli.

Mest zadrżał, po raz pierwszy bowiem znalazł się tak blizko bóstwa, strzegącego grodu świętego, i postanawiał sobie w duszy dochować przyjaźni Świętopełkowi i Białogrodowi.

A Świętopełk już stał przy ognisku. Na twarzy jego bladej malowało się skupienie wielkie, pomięszane jakby z trwogą niepojętą.

Wnet zjawił się starzec siwowłosy, a był to wieszcz naczelny świątyni, i spytał cicho, niemal szeptem:

— Czego żądasz, kneziu, od wszechmocnego Światowida?

— Pragnę wiedzieć, zali bogowie ocalą Białogród święty.

— Przetrwa on w chwale wieki długie, rozbije się fala wrogich zastępów o jego potężne ściany.

— Badałeś-że wyroki Światowidowe?

— Dziewice święte przeczytają ci je, skoro tego zażądasz.

— Powiedzże, zali żyw wyjdę z tej walki?

Starzec zamiast odpowiedzi wziął go za rękę i przyprowadził do ogniska ofiarnego, zaczem, rzu-

ciwszy na gorejący płomień szczyptę wonnego ziela, zwrócił się do jednej z dziewic w bieli, mówiąc:

— Powiedz, co ci bogowie czasu ofiary Światowidowej powiedziały!

A dziewica wyciągnęła ręce nad ogniskiem, i wchłaniając w siebie dym wonny, drżeć poczęła, jakby w słabości jakowejś.

Mest przysłonił sobie ręką oczy, bo wydało mu się, że krwawy wzrok Światowidowej głowy pali go.

Starzec rzekł znowu:

— Powiedz, dziewico boska, co widzisz?

Dziewica osunęła się na ławę białą, stojącą nie opodal, i zamknąwszy oczy, jęła mówić głosem, podobnym do łkania:

— Ocali Światowid gród swój święty, lecz w walce krwawej padnie, śmiertelnie przez wroga oszczepem ugodzon, kneź... i nie ujrzy więcej światła dziennego...

Na to Świętopełk, trwogą niezmierną przejęty, chwycił rękę dziewicy i zawołał z żalem:

— Jest dwóch kneziów, który więc z nich ma zginąć?

Dziewica ani drgnęła, poruszała tylko wargami i chłonęła woń ofiarną, poczem znów jęła mówić:

— O widzę... widzę go... pada... mgłą śmierci zachodzą mu oczy; niosą go na stos, purpurą odzianego... pali się... i z wysokości niebios patrzy na żal swoich chrobrych witeziów...

— Kto on jest? zali mnie widzisz? — powtórzył drżącym głosem Świętopełk.

A dziewica naraz rozwarła szeroko oczy i oprzytomniawszy zupełnie, podniosła się z ławy, mówiąc:

— Który z kneziów potężnego wodza nieprzyjaciół na ziemię powali, ten zginie na polu bitwy...

Rzekłszy to, upadła na ziemię z jękiem wielkim. Leżała, jak martwa, próżno ją porwał za białą rękę kneź strwożony, próżno silił się zbudzić ją wieszcz Światowidowy — nic nie pomogło.

— Chodźmy stąd! — zawołał Mest, zwracając się do Świętopełka, bo już nie mógł pohamować wzbierającego w nim uczucia grozy.

— Jeden z nas padnie, kneziu, — odezwał się Świętopełk, gdy przestępowali progi kontyny.

— To ja nim będę,— wtrącił Mest bez cienia bo-

jaźni, i przypasywał porzucony u proga swój miecz kneziowski.

— Zginie ten, kto zwali z nóg wodza nieprzyjaciół... z czyjej ręki ten ostatni padnie...

— Ja to uczynię, — przerwał Mest, gdy stanęli w gronie witeziów drewnickich i białogrodzkich.

— Nieznana jest wola bogów... — szepnął białogrodzki kneź.

— Ty kneziu, zostań w Białogrodzie, a ja pójdę na bój krwawy; tu cię nikt nie dosięgnie...

Na to Świętopełk chwycił go w ramiona i głosem wzruszonym rzekł głośno:

— Nie, kneziu i bracie kochany, pójdziemy razem. Nie uniknie człowiek wyroku bogów. Gdybym na horodyszczu ostał, wrógby po mnie i tam przyszedł i śmierć by mi zadał. Słaby jestem, to prawda; nie mam siły ramienia twego, ale poprowadzę białogrodzką drużynę przeciw wrogowi, jak przystoi kneziom.

— Atoli pamiętaj—dodał tak głośno, iżby wszyscy słyszeli—gdy zginę, zostawię ci kneziową i córy dwie; nie daj im przepaść zdradnie, a opiekę nad niemi roztocz, jako nad swemi rodzonemi!...

— A gdy ja zginę, — przerwał Mest, do głębi wzruszony, — weź pod opiekę swoją synaczków i dziewice moje, żeby snać marnie nie zginęły.

I ucałowali się kneziowie serdecznie, jak rodzeni bracia, poprzysięgając sobie wierność na zawsze.

Ujrzawszy tę czułość panów swych, tem serdeczniej jęli się bratać białogrodzianie z drewniczanami, ślubując sobie przyjaźń na wieki.

Jeszcze tegoż samego wieczora, po uczcie, wyprawionej przez Świętopełka na cześć drewniczan, ruszyły drużyny do lasów, otaczających wschodnią połać grodu aż do samej rzeki Białej.

W łodziach spokojnie stojących na wodzie, ukryli się drewniczanie, część swoich pod dowództwem Bolka pozostawiwszy przy ogniskach na polanie. Główne siły, któremi dowodzili sami kneziowie, usadowiły się wzdłuż onych parowów i tajemnych dróg, któremi miały przechodzić gromady wojowników nieprzyjacielskich.

Wszystkiem kierował sam Mest, za zgodą Świętopełka, który mu ustąpił całego dowództwa, jako że zaufał rozwadze i doświadczeniu przyjaciela.

Noc była bardzo ciemna, ani jedna gwiazda nie wyłoniła się z poza skłębionych, obwisłych chmur czar-

nych. Wiatr zawiewał od zachodu, ciepły, wilgotny, i potrząsał liśćmi. Szumiał bór, zbudzony ze snu, i zdawał się zbierać siły, by zagadać mocniej o potędze swojej.

W gęstwinie, gdzie się ukryli drewniccy witezie, panował spokój, pełen tajemnej grozy.

Abibal z oszczepem w dłoni stał obok olbrzymiego Mojmira i wsłuchiwał się w szmery leśne. Myślał o swym przyjacielu, myślał o przeznaczeniu własnem, które go w te lasy zapędziło, co, być może, niezadługo zabrzmią okrzykami zmagających się mocy ludzkich...

I zatęsknił za słodkiem niebem swojej ojczyzny, za morzem ciepłem, w błękitach skąpanem, za słońcem południowem, darzącem ludzi rozkoszą i szczęściem.

Tam, w Fenicyi, z marmurowych tarasów pałacu swego, chłonął upojenie i przyjemność,—tu ciągle drżał w trwodze i niepewności.

— Ach, czy ja jeszcze ujrzę Tyr ukochany!—tłukło mu się w duszy.

I słuchał bicia własnego serca

Cisza niezmierna panowała naokół, ta straszna cisza, jaka bywa zwykle przed nadejściem burzy.

Naraz huknął puszczyk z oddali. Młodzieniec drgnął i naraz uczuł na ramieniu swem dłoń Mojmira.

— Pan mój daje znać o sobie,—szeptał olbrzym,— nieprzyjaciel nadciąga!

Puszczyk złowrogo jęknął po raz wtóry, ale już bliżej. Wkrótce też ci, co byli na skraju puszczy, przynieśli wiadomość, że wróg, niby potworny wąż, wślizgnął się do parowozu.

Więc czekano, póki całkowicie się nie skryje w lesie, a czekano dość długo, zachowując spokój martwy.

Wtem zadudniło w powietrzu; krwawy gzygzak błyskawicy rozdarł ciemną oponę niebios. Ryknął grom głuchy gdzieś w kniei dalekiej, i znowu wszystko przycichło. Zatrzymała się w gawędzie swej puszcza i zdawała się jakiegoś znaku oczekiwać.

Zagrzmiało po raz wtóry, i zapłonęło na chwilę podniebie. Wówczas zerwał się wiatr okrutny, i jak olbrzymi ptak załopotał skrzydłami między koronami drzew.

Zadrżały potężne konary i giąć się poczęły ku ziemi, czyniąc hałas po puszczy niezmierny.

Aż oto od polany nadrzecznej podniósł się okrzyk bojowy, wydarty z tysiąca piersi:

— Śmierć wrogom!...

Zakotłowało się w puszczy, jak w garnku wrzącej wody.

— Za mną, wierni witezie! — rozległ się potężny głos Mesta.

— Śmierć wrogom! — krzyknęła raz jeszcze drużyna i ruszyła ze wszystkich stron, podobna do spadającej ze śnieżnych gór lawiny.

Straszliwe wycie echem rozgłośnem niosło się po puszczy, która dopiero teraz zagadała przemożnie.

— Zdrada! — brzmiały wołania z szeregów nieprzyjacielskich.

— Bij wroga! — odpowiadały sobie nawzajem ze wszystkich stron połączone drużyny Białogrodzian i Drewniczan.

Manowie i Goci próbawali się zatrzymać i rozwinąć szeregi, ale gromieni coraz potężniej, staczali się na dno parowów; ginęli tutaj w strasznym tłoku, jak rozdeptane potężną stopą olbrzyma mrowie.

Więc parli naprzód ku onej polanie, na której spodziewali się znienacka zaskoczyć witeziów.

O to właśnie chodziło Mestowi, więc gdy ich tam przy świetle błyskawic ujrzał, rozkazał natychmiast Bolkowi zamknąć im wyjście od wschodu, Świętopełka posłał na zachodnią połać lasu, a sam na czele głównej siły, złożonej z najdzielniejszych białogrodzkich i drewnickich witeziów, uderzył z przodu.

Zaczęła się teraz walka na zabój. Gotowie razem z Manami utworzyli półkole i stanęli w obronnej postawie. Wytrzymali jedno natarcie, wytrzymali i drugie, ale gdy Mest całą kupą rzucił się na nich po raz trzeci, załamał się on półpierścień i rozbił na dwa długie ogniwa.

Wówczas na dany znak z boków wypadli Bolko i Świętopełk ze swoimi.

Lała się krew obficie i łączyła się z deszczem, który wraz padać począł.

Zerwała się burza straszna w puszczy, pioruny waliły w ludzi i drzewa, głusząc wycia mordowanych wojowników.

I niosło się to wołanie przeraźliwe hen, ku dalom przepastnym.

Gotowie znowu się zwarli z Manami i ze straszną wściekłością rzucili się na następujących Białogrodzian. Wódz ich zginął, więc postanowili z nim razem zginąć. Nie ustępowali ani kroku, choć parły na nich teraz połączone zastępy Białogrodzian i Drewniczan. Widzieli klęskę, widzieli rozgrom i drogo życie swoje sprzedać chcieli.

Naraz rozległ się nowy okrzyk:

— Świętopełk! Świętopełk!...— krzyczeli witezie, bo oto kneź białogrodzki, śmiertelnie ugodzon oszczepem, padł na polu walki.

— Śmierć wrogom! zemsta krwawa za knezia! — ryknęli Białogrodzianie, dowiedziawszy się o zgonie pana.

— Świętopełk poległ! — zabrzmiało znowu na polanie.

Powstało zamieszanie, Gotowie z Manami jeszcze raz się złączyli i tłumnie natarli na stropionych w zapędzie śmiercią wodza Białogrodzian. Już część ich złamała otaczający pierścień i biegła w las, gdzie był jedyny ratunek.

Ale zoczył ten ich zamiar Mest, i zgomadziwszy Drewniczan swoich, otoczył znowu tych, co pozostali.

I już się żywa obręcz najeżona ostrzami, nie rozrywała, a zacieśniała się coraz to mocniej, coraz to potężniej.

Nieprzyjaciel został całkowicie otoczony; szamotał się i walczył; walczył uparcie i ginął...

Zapalały się połacie niebios co chwila czerwonemi błyskawicami i oświetlały rozległą polanę, zasłaną trupami.

I widać było, jak Mest w otoczeniu swoich wiernych witeziów, z mieczem, ociekającym krwią, wzniosionym w górę, wydawał naokół rozkazy.

— Bij! morduj! — wołali Drewniczanie pospołu z Białogrodzianami.

— Zemsta za knezia Światopełka!...

— Mest! Mest! chwała Mestowi!—wołali inni.

I to wołanie coraz częściej rozlegało się na pobojowisku.

Wtem Abibal, który walczył tuż obok olbrzymiego Mojmira, w świetle błyskawic ujrzał znajomą sobie twarz.

— Agaton?! — wyrwało mu się z zachrypniętego gardła.

— Tak, to ja!...

I już teraz walczyli razem, bijąc mieczami naokół.

Aż znów straszliwy krzyk wydarł się z szeregów nieprzyjacielskich,

— Alman!... Alman!... — wołano gdzieś tam pod lasem.

To drugi wódz padł martwy, ugodzony oszczepem w samo serce. Tot poległ już był przedtem z ręki Światopełka, który też za to sam stracił życie, podług przepowiedni dziewicy, kapłanki posągu Światowidowego.

A kiedy z załzawionego nad ludzką srogością nieba opadły chmury ciemne, w rozbłyskach dnia na polanie widziało się tylko trupy, a słyszało jeno chrapliwe rzężenie konających i jęki rannych.

Rozgromione zostały zupełnie bitne szeregi Manów, Gotów i Rudych; ocalony Białogród, Światowidowe miasto święte.

Wracały dzielne drużyny do miasta z krwawego pobojowiska, wracały z tryumfem i żalem, albowiem zwycięstwo zostało okupione bohaterską śmiercią knezia Świętopełka.

Wybiegła na spotkanie zwycięzców ludność cała, kobiety, dzieci i starcy czcigodni, a otoczywszy Mesta, na cześć jego okrzyki wznosić zaczęła·

— Niech żyje Mest! drewnicki zwycięzca sławny!.. Niech żyją dzielni witezie, zbawcy grodu świętego!...

Ale Mest nie rad był tym okrzykom, sławę jego głoszącym, albowiem poruszonym się czuł do głębi śmiercią Świętopełkową. Więc przystanął w pochodzie, a wskazując na ciało martwe białogrodzkiego pana, które przed nim niesiono w płaszcz purpurowy zawinięte, wołał głosem donośnym:

— Straciliście knezia sławnego i dobrego, cni Białogrodzianie! żadna moc ludzka go nie wróci, legł w obronie grodu swego, jak na bohatera przystało, zabiwszy przedtem olbrzymiego Tota, wodza hord nieprzyjacielskich. Jemu się chwała należy, jemu Białogród ocalenie swe zawdzięcza; jam był mu jedno druhem, braterską pomoc w krwawej wyprawie okazującym.

Niech się rozżalą serca wasze, niech z oczu popłyną łzy, łzy smutku i dziękczynienia!

Gdy skończył tę mowę, dał się słyszeć w tłumie wielki płacz; kobiety rozdzierały suknie swoje,

a mężowie orężni, na znak żałoby, ostrza oszczepów i mieczów swoich ku ziemi pochylili.

U wrót horodyszcza spotkała ów pochód pogrzebowy gromadka dworek, mających pośrodku kneźnę wraz z nieletniemi córkami swemi.

Zoczywszy ciało zabitego męża, rzuciła się nań i płacząc okrywała je pocałunkami.

— Porażon lutą śmiercią sokół mój jasny! zawarły się powieki jego na czasy wieczne!... — tak narzekała drewnicka pani razem z dziewczętami swemi.

— Co ja nieszczęsna poczne teraz?... Nie mam ojca, nie mam brata, nie mam nikogo, coby mnie w biedzie ratował, a udręczenia moje łagodził... — zawodziła dalej biedna wdowa.

A tłum szarego ludu i gromady oblanych krwią wrażą witeziów, podzielały ten smutek dostojnej pani.

Gdy płacz się nieco uciszył, przystąpił Mest do kneźny i rzekł:

— Nie ostałaś, miłościwa kneźno, pani Białogrodzka, samą i opuszczoną na świecie; sokół twój jasny uleciał ku ojczycom swoim w górne niebiosa, skąd na świat spływa bogów białych łaska; nie ostałaś sierotą: jakom był serdecznym druhem męża twego, tak pozo-

stanę druhem twoim aż do skończenia żywota mego. Nie opuszczę cię, smutek twój ułagodzę i żal utulę, i łzy tęsknę osuszę, a nad córami twemi opiekę swoją roztoczę.

Roztkliwiła ta mowa lud białogrodzki i serca wszystkich ku drewnickiemu panu zwróciła.

I oto przypadła do kolan jego kneźna dostojna, wołając:

— Dzięki ci, kneziu, za to, coś rzekł: wierzę, że jako mężowi memu, tak i mnie niebogiej, przyjaźni dochowasz.

Tego dnia nie wszczynano już nowych bojów, zabrano się bowiem do uczczenia ciał poległych wojowników.

Na uroczysku świętem, gdy słońce zaszło, a wieczór cichy nastąpił, zapłonęły stosy niezliczone, na których palono ciała poległych w walce witeziów. Ale największy stos zgotowano pośrodku, na szczycie pagórka, nieopodal od dębów ogromnych, lata dawne, bardzo dawne pamiętających.

Na tym to stosie złożono zwłoki kneziowe, w odświętne szaty, bogato ozdobione, przybrane. Owinięto je w płaszcz purpurowy, w ręce martwe oszczep wło-

żono wyzłacany, przypasano wraz z pasem złocistym miecz kunsztowny, a na głowę wsadzono czapkę kneziowską.

Zawiedli pieśń pogrzebową gęślarze, a Radan wraz z wieszczkami białogrodzkiemi, ofiarę bogom podziemnym czynili, wedle obyczajów dawnych.

Wówczas przystąpił do stosu kneź Mest, spojrzał na leżącego wśród gałęzi świeżej dębiny, martwego pana Białogrodu, i zarzewie ze świętego ogniska pierwszy na suche szczapy drzewa rzucił.

Czekano chwilę; gęślarze, uderzając w struny, pieśń żałosną śpiewali.

Wtem buchnął płomień jasny z czterech stron stosu i począł lizać smoliste szczapy, pnąc się ku górze. Wkrótce dym gęsty otulił stos cały, albowiem płomień dostał się pomiędzy ziele wonne i żywe kwiaty leśne.

Rozeszła się woń naokół, woń niezrównana. A gdy się dym rozsnuł, dojrzano, że ogień objął już całkowicie leżące na wierzchu stosu Świętopełkowe ciało.

Wówczas gęślarze uderzyli mocniej w struny i śpiewać poczęli inną pieśń: sławili w niej ród umarłego knezia, sławili jego dobroć i mądrość, sławili śmierć bohaterską.

Otworzono też zaraz przyniesione beczki z miodem przednim i rozstawiono jadło wszelakie.

Na dany przez Mesta znak, zaczęła się stypa uroczysta. Witezie jedli i pili, wspominając o czynach poległych druhów i o hojności białogrodzkiego knezia.

— Któż teraz naszą krainą osieroconą rządzić będzie? — pytali się wzajemnie mężowie białogrodzcy— zali kneźna, niewiasta słaba? Wszak wróg nie całkowicie pokonanym został... kto wie, czy znowu nie rzuci się na nas, gdy drewniczanie odejdą... Któż nas przeto do boju prowadzić będzie, kto ład czynić?

I przy płonących stosach, jedząc i pijąc, radzili mężowie białogrodzcy, w gromadę jedną, jak czasu wiecu, się zebrawszy, o tem, co o sobie i swym losie mają postanowić.

Ci dowodzili, jako kneźnę panią na stolcu stołbowym posadzić należy; mówili oni:

— Mądra to wielce pani. Zastąpi niejednego męża w radzie...

Inni wołali, żeby miasto knezia, radę ze starszych do rządów nad Białogrodem ustanowić.

— Tak było dawniej, za praojców naszych — tak niechaj będzie teraz!

— Prawda, tak było dawniej, ale źle było: uciskani przez wrogów, kneziaśmy sobie jednego obrali, by sądy sprawołał i na wrogi nas prowadził.

Zaczęły się wnet swary, bo zdania były rozstrzelone, zanosiło się już nawet na bójkę.

Wtem powstał z głazu, na którym dotychczas w milczeniu siedział, pewiernik Świętopełkowy, siwowłosy Władan, który miał na wiecach mir największy, i w te do całej gromady ozwał się słowa:

— Zali po to tu zebraliśmy się, by w obliczu stojącego nieopodal obozowiskiem wroga, wobec przyjaznych nam Drewniczan sławnych, swary rozpoczynić? Obżałowaliśmy Świętopełkowy mężny zgon, uczciliśmy go sławnie, jako pana i witezia, mamyż pamięć jego swarem i może bratobójczą walką pohańbić?

Zaległo wielkie milczenie, a Władan tak rzecz swoją ciągnął dalej:

— Nie rady wielogłowej, a knezia nam jednego trzeba!

— Knezia nam jednego trzeba! — rozległo się w gromadzie.

— Knezia, coby na wiecu przywodził, coby sprawiedliwości sądy sprawował, coby mądrze nami kiero-

wać umiał, wolność naszą ubezpieczał i do boju prowadził.. Kneźna mądra i dobra, lecz niewiasta to słaba, nie poradzi obowiązkom kneziowskim: ona sama opieki potrzebuje.

Otóż ja myślę, jako nad wyborem pana biedzić się nie potrzebujemy, bo go przy sobie nieopodal mamy.

Władan zatrzymał się.

Po gromadzie rozszedł się szmer, który rósł, potężniał, aż się zamienił w okrzyk jeden:

— Niech żyje Mest, drewnicki pan!

— Niech żyje Mest, najmiłościwszy kneź białogrodzki!

I już nie swarząc się więcej, ruszyły zgodnie gromady białogrodzkiego ludu ku siedzącemu obok kneźny Mestowi z drużnym okrzykiem:

— Mest, Mest kneziem białogrodzkim!

— Niech żyje, niech sądzi, niech ład czyni nad nami sierotami!

Słysząc to Mest, powstał, a zdjąwszy z głowy swój kołpak kneziowski, rzekł:

— Dziękuję wam, cni mężowie białogrodzcy, za

cześć mi okazaną, pytam atoli: zali godniejszego tej cześci nade mnie nie macie?

Więc Władan razem z radnymi Świętopełkowymi podszedł do Mesta, a skłoniwszy mu się do kolan, odrzekł:

— Tyś jest najgodniejszy, kneziu nasz i panie, obraliśmy cię zgodnie i wiaryć dotrzymamy. Usiądź na horodyszczu świętem białogrodzkiem, jako że Świętopełk syna ani brata nie zostawił, a weź za żonę kneźnę, bo radzibyśmy ją w szczęściu, a nie w tęsknocie i żalu widzieć.

— Niech żyje Mest, białogrodzki i drewnicki kneź! — rozlegały się głosy naokół.

— Niech żyje kneźna—pani!

I kłaniały mu się gromady ludzi, a witezie oręże swe do góry z radością podnosili.

Zajaśniało oblicze Mesta szczęśliwością wielką, a zbliżywszy się do kneźnej, zapytał:

— Zali po myśli twej, dostojna pani, wybór ten na białogrodzkiego knezia dokonanym został?

Na to w odpowiedzi kneźna pokłoniła mu się nizko, mówiąc;

— Ocaliłeś Białogród, słusznie ci się panowanie nad nim należy.

— A chcesz-li być żoną moją i na horodyszczu białogrodzkiem lub drewnickiem razem ze mną mieszkać?

— Wola twoja jest wolą moją. Jakom zmarłemu mężowi rada była, tak i tobie rada będę; jakom jego smutki słodziła, tak i twoje słodzić będę... — odrzekła kneźna—wdowa.

Tak mówiła kneźna, obie swoje córy za ręce trzymając.

Dopalały się ogniska ze złożonemi na nich szczątkami drużyn białogrodzkich i drewnickich, ucztowały drużyny orężne, a lud mnogi wołał:

— Witaj nam, kneziu nowy!

— Witaj nam, białogrodzki panie!

Bratali się też Drewniczanie z Białogrodzianami, obiecując sobie solennie w przyszłości, jakby jedną wielką rodzinę stanowić.

W trzy dni potem Mest poślubił wdowę Świętotopełkową, ale zabaw weselnych przy tej okazyi nie zarządził żadnych, albowiem pierwej, jak mówił, należało się ostatecznie załatwić z nieprzyjacielem.

Donieśli mu też wysłani na zwiady witezie, że w obozie wrogim zapanował jakiś gorączkowy ruch: zwijano namioty i ładowano je na wozy, z widocznym zamiarem ustąpienia z miejsca.

— Chcą uciec stąd, gdzie taką straszną klęskę ponieśli, mówiono w grodzie.

— A niech sobie idą, dokąd ich oczy poniosą,— powtarzano sobie.—Niech wracają do swojej ojczyzny.

Ale knież oznajmił, że wrogowi dobrowolnie odejść nie pozwoli, i wysłał natychmiast połączone drużyny Białogrodzian i Drewniczan, by Gotom i Manom odwrót przecięli.

Wyszły bitne drużyny i stanęły murem żywym nawprost wrogiego koczownika, gotując się do stoczenia jeszcze jednej walki, tym razem, jak sądzono ogólnie, ostatniej.

Atoli Gotowie wraz z Manami nie czuli się widocznie dość silnymi, by przebojem torować sobie drogę do powrotu, bo stali dalej, nie ruszając się z zajętego sioła.

Drużyny rade były napaść na on obóz wrogi i sprawić w nim rzeź straszną, ale Mest stanowczo oparł słę temu, mówiąc:

— Po co szukać krwi rozlewu, kiedy się bez niego obejść można; szkoda mi wojowników sławnych. Poczekamy, dopóki obozowisko, głodem zmożone, samo się nam nie podda.

I czekali znów dni kilka, czekali z bronią w ręku, posłuszni rozkazaniu mądrego knezia.

Aż oto wkrótce zjawiło się w Białym grodzie poselstwo Totyla, który po śmierci dwóch poprzednich wodzów, Tota i Almana, stał się królem i panem całego ludu Gotów, Manów i Rudych, oznajmiając chęć zawarcia z kneziem pokoju wieczystego.

Przyjął ich kneź na horodyszczu łaskawie; nakarmił, napoił i rzekł, jako sam radby na ziemiach swoich spokój widzieć, bo bojów ma dosyć.

— Pozwól nam; kneziu, odejść do krainy, którą opuściliśmy, bo zmożeni walkami ciągłemi jesteśmy.

Kneź nic nie odrzekł, pogrążony w myślach. Tymczasem otaczający go mężowie rady przybocznej jeden przez drugiego jęli powtarzać:

— Odpuść ich, kneziu i panie, niech powracają w spokoju; słabi teraz są, więc nam szkodzić nie mogą. Dość mamy wojny wszelakiej; w pokoju pragniemy owocami jej się cieszyć.

— Niech idą, skąd przyszli!

Kneź wciąż myślał, wreszcie rzekł:

— Jako ich puścić mam? Odejdą, bo są słabi, ale gdy obcięte przez nas skrzydła im odrosną, gotowi znowu tu przelecieć. Umarli nie wstaną, ale ich młodziankowie są żywi, gdy zaś na mężów wyrosną, oręż zemsty na nas obrócą.

Nie pójdzie z powrotem do swej ziemi nikt z nich, bo mi na sercu leży mir i bezpieczeństwo potomków moich i ludów pobratymczych. Odbudujemy spalone sioła nasze, wzniesiemy nowe horodyszcza, ale nie po to, żeby je prędzej czy później Gotowie razem z Manami i Rudymi poniszczyli.

Słuchali strwożeni posłowie Totyla, albowiem sądzili, że wnet z ust groźnego knezia wyrok śmierci na nich padnie.

Ale Mest co innego miał na myśli, i rzekł zaraz, zwróciwszy się ku posłom.

— Spokojny jest lud, którym rządzę, krzywdy nikomu robić nie chce, na ostateczną zgubę waszą nie czyha, krwi nie pragnie...

— Tak... tak... — powtarzali doradcy kneziowscy.

— Na południe z powrotem was nie puszczę,

abyście snać po drodze rabunków nie dokonywali, ale pozwolę odejść na północ.

— Na północ? Wszak tam morze bezmierne się ściele... — rzekli zdumieni posłowie.

— Otóż dam wam łodzi ilość dostateczną; wsiądą na nie wojownicy wasi z Totylem na czele i po płaszczyźnie wód ziemi dla siebie poszukują.

Dzieci i kobiety, jeśli zechcą, mogą pozostać z nami, albo czekać na mężów i ojców swych, by ich zabrali do siebie. Kraj tam na onych bezmiarach morskich jest wielki, a pusty — możecie go w posiadanie zająć.

Idźcie teraz do swoich i powtórzcie waszemu królowi to, coście odemnie usłyszeli. Czekam do jutra odpowiedzi jego, gdy zaś się nie doczekam, natenczas każę uderzyć na wasz obóz i wszystkich, nie wyłączając kobiet i dzieci, w pień wyciąć.

Odeszli posłowie, głowy smutnie zwiesiwszy na dół, a otoczenie knezia dziwiło się jego wielkiej mądrości.

Nazajutrz zjawili się znowu wysłańcy od wrogów i rzekli:

— Wódz nasz i król kazał nam oznajmić tobie,

potężny kneziu, że woli twej zadość jest gotów uczynić. Czekamy na łodzie i na żywność, albowiem brak jej wielce nam się czuć daje.

Odjadą wojownicy nasi, lecz zabiorą niewiasty i dzieci swoje, by kraj podbity zaludnić byli w stanie.

I zaraz też dni następnych rozpoczęła się wyprawa na łodziach gromad nieprzyjacielskich ku krainom północy, o których rzadkie wieści do Białogrodu w ciągu długich wieków nadchodziły.

A kiedy na widnokręgu niebios zniknęła ostatnia łódź, wioząca garść pokonanego ludu, w grodzie zapanowała radość nieopisana.

Kneź Mest zasiadł na złocistym stolcu i wynagradzał witeziów swoich za poniesione trudy a krzywdy czasu wojen krwawych.

A gdy wśród okrzyków wesela zbliżyła się kolej na Agatona, kneź spytał go, czego żąda za czyn swój wielki.

Zamyślił się Grek głęboko, a powiódłszy oczyma tęsknymi po ucztujących gromadach witeziów białogrodzkich i drewnickich, rzekł:

— Wielki kneziu, dobrze mi tu jest między wami; doświadczyłem tu takiej gościnności, jakiej nie doznałbym nawet w ojczyźnie mojej.

Jestem pewien łaski twojej i wiem, że uznają mię tu za swego, ale smutno jest sercu memu, tęsknota je zalewa. Ja pragnę ujrzeć swój kraj rodzinny i kości swe w nim złożyć, pozwól mi przeto wrócić do swoich, mnie i przyjacielowi memu, któremu w chwilach ciężkich ojca zastępowałem.

Rozczulił się Mest na te słowa, do serca swego Agatona wraz z Abibalem przycisnął; próbował ich od zamiaru odkłonić, lecz napróżno, musiał więc zezwolić na to, czego żądali.

Chciał z nimi wracać i Mojmir, ale go namówili, by został, jako każdemu jest najlepiej w swojej ziemi.

— Twoja to ziemica i twoje plemię, ostań Mojmirze i ciesz się względami, jakie posiadasz u wielkiego knezia Białogrodu i Drewnicy.

Więc Mojmir nie opierał się więcej, a płacząc rzewnie, dziękował dawnemu panu swemu za jego dobroć.

— Nie zapomnę o was nigdy — mówił.

Na życzenie Greka, rozkazał Mest wypuścić z lo-

chów zamkowych majtków fenickich, ile że nie oni winni byli uczynionego zła, lecz ten, który ich do tego podmówił.

Zbudowali oni okręt wielki kształtu tyryjskiego i naładowali go ambrą najczystszą i błamami najkosztowniejszych futer.

Abibal, z woli księcia, zabrał także w podróż do ojczyzny nikczemnego Abbara, by mieć w nim świadka niecnych i zbrodniczych czynów stryja swego Itubala.

Cały lud białogrodzki wyległ na wybrzeże i żegnał ze smutkiem wielkim odjeżdżających.

— Zawitajcie tu jeszcze kiedy do nas .. — rzekł Mest do obu przyjaciół rzewnym głosem

— Wrócimy tu jeszcze i drogę innym do gościnnej i bogatej stolicy twojej wskażemy. Rozniesiemy szeroko po świecie sławę twoją, a dowiedzą się przez nas ludy mnogie o potężnym kneziu Meście, panującym nad Białogrodem i Drewnicą!

Takie były ostatnie słowa Agatona Greka, dążącego z powrotem do ojczyzny swej, do krainy zielonych wzgórz, błękitnego nieba i wiecznej wiosny.

KONIEC

Biblioteka Pedagogiczna w Kielcach

30
843774/II

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
201865

Biblioteka WSP Kielce
0070045

Cena 30 kop.